ROK XIV MAJ 1925 ZESZYT 5

MIESIĘCZNIK
KATECHETYCZNY I WYCHOWAWCZY

ORGAN STOWARZYSZENIA KSIĘŻY PREFEKTÓW

TREŚĆ ZESZYTU:

WE LWOWIE
REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
UL. ORMIAŃSKA 13
1925

Do P. T. Prenumeratorów!

W r. 1925 będzie się ukazywał „Miesięcznik" co miesiąc, jak sobie tego życzyli i P. T. Czytelnicy i poszczególne Koła. Każdy zeszyt wynosić będzie 48 stron. Wprowadzamy też honorarjum autorskie. Zwracamy się z gorącym apelem do wszystkich, by nam nadsyłali artykuły, recenzje i sprawozdania.

Prenumerata na r. 1925 wynosi 12 zł. Prosimy o możliwe rychłe nadesłanie. Nr. P. K. O. 148.997.

UWAGA:

Adres Redakcji i Administracji: Lwów, ul. Ormiańska 13.

UWAGA!

Korespondencje na czekach należy umieszczać na części **środkowej,** bo ta tylko dochodzi do Administracji.

PRAWDOMOWNOŚĆ.

W pracy wychowawczej ogromną rolę odgrywa prawdomówność.

Carneri w prawdomówności widzi początek i koniec całej etyki. Może jeszcze dosadniej tę samą myśl wyraził Schopenhauer, mówiąc: „Jedna tylko jest moralność, a nią jest prawda; jeden jest tylko występek — a nim jest kłamstwo. Prawda daje nam moralne życie i zdrowie; natomiast kłamstwo niesie ze sobą zgniliznę“. Pewnie, że w tem apodyktycznem, iście germańskiem powiedzeniu nie brak grubej przesady, ale mimo wszystko trudno w nim nie zauważyć ogromnej dozy słuszności. Wszak gdzie kłamstwo zamierzone i złośliwe wchodzi w grę, tam niepodobna mówić o wzajemnem zaufaniu, tam na twardych podstawach nie staną stosunki społeczne, tam jedynie warunkowo można myśleć o dodatniem oddziaływaniu pedagogicznych wysiłków. Na prawdzie opiera się życie; do niej również należy sprowadzić normę życia czyli moralność.

Czemże jest tedy prawda? Prawda przedmiotowa wyraża się znakiem równania między rzeczywistością a naszem poznaniem; podmiotowa zaś czyli moralna polega na uzgodnieniu myśli ze słowem. Kto tak postępuje i mówi, jak myśli i czuje, ten „jest w prawdzie“, tego o kłamstwo posądzić nie wolno.

Człowiek z natury dąży i unika prawdy. Ledwo dziecko pocznie wymawiać pierwsze wyrazy, co chwila staje przed matką i pyta: co to?, a to co?, a na co to? i tak w nieskończoność. Zczasem przybiera na sile wspomniany popęd. Chłopczyk chce wszystko wiedzieć, wszystkiem się zajmuje, odpowiada, choć go nikt do tego nie wezwał. Nawet w późniejszym wieku, kiedy zwykle cichną i zamierają inne skłonności, wraz z niemi nie marnieje popęd do prawdy. Czemuż człowiek całe życie poświęcił

badaniom naukowym i jeszcze na łożu śmierci nie może się z niemi rozstać bez żalu? Czemu staruszek, którego wartki bieg życia wyrzucił na brzeg i na przymusową skazał bezczynność, chwyta codziennie drżącą z ciekawości ręką za gazetę i czytając ją, nawet inseratów ominąć nie umie? Czemu? Chcą wiedzieć, pragną poznać prawdę, usiłują własne myśli i sądy zestroić z życiem otoczenia.

Człowiek nietylko pożąda prawdy; on w niej znachodzi szczęście i zadowolenie. Któż z nas nie uśmiechnął się sam do siebie albo nawet nie klasnął z radości w dłonie, kiedy trudne matematyczne rozwiązał zadanie lub opanował większy dział z literatury czy historji! U dziecka widać radość i spokój na twarzy, gdy powiedziało prawdę, choćby stąd miały dlań wyniknąć niemiłe następstwa; przeciwnie rumieniec wstydu zalewa je „aż po same uszy“, skoro się dopuściło kłamstwa z obawy przed karą.

Platon opowiada, iż Sokrates po złożeniu zeznań przed sądem, stał pogodny jakby jeden z bogów i z uśmiechem wesela na ustach czekał na wyrok śmierci. Przeciwnie, najkorzystniejsze kłamstwo — o ile takie bezwzględnie istnieje — zawsze budzi wyrzuty sumienia i wcześniej czy później musi się przedzierżgnąć w moralną udrękę.

Zdawaćby się zatem mogło, że wszyscy ludzie będą mówili zawsze prawdę! Tymczasem nie bez podstawy jeden z francuskich myślicieli powiedział: „Stwórca dał człowiekowi mowę w tym celu, by mógł wejsć w kontakt z otoczeniem; ale człowiek poprawił pierwotny plan Boga o tyle, że dziś zapomocą mowy kryje swe myśli przed bliźnimi, by „ich wyprowadzić w pole“. Po świecie tuła się jakiś nieśmiertelny bakcyl kłamstwa, który podgryza i niweczy posiew prawdy a na jej miejsce roznosi zarazki blagi i oszustwa. W okresie największej dewaluacji jeden z przedstawicieli naszej uczciwej palestry swój podziw i oburzenie ujął w te słowa: „Dziś można każdemu spotkanemu na ulicy człowiekowi postawić pytanie: „coś pan ukradł?“, a jeszcze przez to nikomu nie wyrządzi się krzywdy, bo wszyscy bez wyjątku nieswoją tuczą się własnością“. Mutatis mutandis możnaby bez żadnej przesady określić zalewającą nas zewsząd powódź nieszczerości, pozy i obłudy. Fala kłamstwa zalewa tak dobrze polityczne jak społeczne stosunki, wdziera się również na teren rodzinnego i szkolnego życia, gdzie powoduje ogromne spustoszenie.

Któż jej zdoła przeciwstawić ochronne tamy? Przed innymi muszą przystąpić do dzieła ci, do których Boski Mistrz powiedział: „prawda was oswobodzi“. Nam kapłanom, apostołom „światła i prawdy“, nie wolno patrzeć na panoszenie się kłamstwa; my powinniśmy wszystko uczynić, by prawdzie zapewnić triumf i zwycięstwo. Fałsz trzeba nam zwalczać wszędzie, gdziekolwiek wystąpi, nie możemy przejść koło niego biernie nawet wtedy, gdyby na nim widniał blask dostojeństwa czy piętno przemocy. Najwłaściwszym terenem, na którym można prowadzić skutecznie walkę z blagą i kłamstwem, jak zawsze, tak i dziś jest bezsprzecznie szkoła.

Mówiąc w tym wypadku o szkole, biorę ją jako pewną całość, jako pełną sumę wychowawczych wpływów — a rolę ks. prefekta tylko tam podkreślę, gdzie na niego większy niż na innych spada obowiązek.

Kto pragnie, by jego wychowankowie zawsze byli prawdomównymi, ten musi skłonić ich do tego, by się brzydzili kłamstwem, a umiłowali prawdę. Cel prosty, zadanie jasne, które każda szkoła usiłuje rozwiązać dokładnie już dlatego, że chcąc niechcąc musi iść po linji wrodzonego popędu do prawdy. Czy jednak środki, jakich zwykle używa do zrealizowania swych założeń, są zawsze dość obmyślane i dostosowane do indywidualnych warunków? Tu właśnie stajemy nad Rubikonem! Może to przykre i niemiłe, ale zaprzeczyć się nieda, iż nierzadko słuszność jest po stronie tych rodziców, którzy patrząc na swoją dziatwę, wyrzekają z goryczą: „Jak dłngo przebywał w domu, nie wiedział, co to znaczy kłamać, a dziś nie zdaje sobie sprawy, kiedy prawdę mówi, a kiedy łże!“

To nie retoryczny frazes — to wyjątek z listu, jaki do ks. prefekta napisała zacna matka jego ucznia. Może nasze szkoły w większej mierze niż gdzieindziej były w czasach rozbiorów kłamstwa matecznikiem. W szkołach rządowych panowała nieufność do przełożonych, a w prywatnych trzeba było się taić i kryć przed psim węchem różnych policyj i ochran. Owszem wśród kolegów nie mogło być szczerości, bo synowie urzędników lub rodziców obcej, dla nas zawsze wrogiej narodowości, podsłuchiwali, ażali wśród rówieśników nie zwęszą nielojalnych myśli lub czynów, a przeciwnie młodzież rozmiłowana w ideałach narodowych widziała w nich lizuniów czy szpiegów. Rosło stąd

trzęsawisko moralne, po którem każdy chciał chodzić tylko w pojedynkę, bojąc się, by go towarzysz swoją nieuczciwością w głębię nie pociągnął. Każdy w szkole pragnął uchodzić w oczach najbliższych za coś innego jak był w rzeczywistości, a więc jeśli nie słowem, to czynem wprowadzał drugich w błąd, czyli kłamał.

I dziś nie brak w szkole okoliczności, które sprzyjają niepomiernie rozwojowi kłamstwa. Nadmierne wymogi w zakresie nauki, nietakt poszczególnych członków nauczycielskich gron, brak serdecznej życzliwości wśród kolegów — to wszystko gniecie moralnie dusze młodociane i nierzadko dla nich staje się przyczyną, że mijają się z prawdą, że w razie jakiegoś nieporozumienia kluczem kłamstwa, oszustwa otwierają sobie w życiu furtkę, by uniknąć może zasłużonych, ale zawsze dotkliwych i bolesnych następstw.

Jeśli gdzie, to w nauczycielu nie powinien i nie może uczeń znaleść do kłamstwa powodu. Dlatego nauczyciel nie zapomni nigdy, że celem szkoły jest nietylko nauka, ale i cnota; będzie więc zawsze tak prowadził lekcje, by słuchacze pod działaniem jego słów mogli pomnożyć swoje zapasy wiedzy a równocześnie miłość ku dobremu rozpalić w swem sercu. Nie zdoła zaś osiągnąć tak wzniosłego celu, jeśli go uprzednio nie urzeczywistni we własnem życiu. O tyle bowiem nauczyciel może krzewić prawdomówność wśród wychowanków i wszczepić w ich duszę cześć dla prawdy, o ile sam znienawidzi kłamstwo, o ile sam zawsze i wszędzie tak będzie postępował, żeby uczniowie, którzy z nim przestawali przez dłuższy czas, nie dostrzegli w nim żadnej, choćby najmniejszej rozbieżności między myślą a słowem, między zapowiedzią, obietnicą a czynem. W przeciwnym razie wszystko stracone! Wychowawca, którego przyłapano na świadomem minięciu się z prawdą, niema więcej co robić w szkole; jedyne wyjście dla niego — przenieść się co rychlej w jak najdalsze strony, gdzieby się nikt nie umiał odwołać do jego przeszłości.

Jeśli nauczycielowi nigdy nie wolno minąć się z prawdą, to stąd jeszcze nie wynika, żeby w zakresie własnego działania musiał być wszystkowiedzącym i nieomylnym. Owszem, jeśli gdzie, to w szkole nie dobrze robi, kto chce być nieomylnym, bo na taki wypadek przy najlepszej woli nie zdoła uniknąć wielu nieprzyjemności i najprędzej minie się z prawdą. Nie straci na powadze nauczyciel, jeśli się pomyli w dacie, zapomni nazwisko,

niepoprawnie przedstawi odpowiednie zdarzenie, byleby tylko dostrzegłszy niedokładność lub błąd miał odwagę powiedzieć wobec uczniów: zapomniałem, pomyliłem się. Lepiej zrobi, gdy nie doda żadnych usprawiedliwień, chyba to jedno: człowiek jest omylny! Również nie wezmą wychowankowie przełożonemu za złe, jeśli coś niesłusznie rozstrzygnął lub coś przyrzekł czy obiecał, a nie wykonał, lecz muszą być przeświadczeni, że tak postąpił, bo zapomniał albo nie znał danego zajścia ze wszystkiemi szczegółami, a nie dlatego, żeby miał złą lub słabą wolę. Wszystko wyrówna a nawet dużo zyskać może, skoro na ewentualną interpelację uczniów nie wybuchnie gniewem, nie okaże niezadowolenia, ale przyzna im słuszność, dodając coś w rodzaju przeproszenia. Nie dobrze się stało, wolałbym, żeby tego nie było, pewnie nikt z was nie przypuści, żebym w ten sposób chciał śmiadomie postąpić, przykro mi, żem wam sprawił zawód. Takie i podobne zwroty nie zmniejszą powagi profesora, a uczniom osłodzą wyrządzoną przykrość. Owszem będą dla nich praktyczną i bardzo pouczającą wskazówką, jak i oni w razie popełnionych przewinień mają naprawić swój błąd bez uciekania się do zmyśleń, zatajeń lub fałszu.

Tem bardziej o prawdę w słowach i postępowaniu musi dbać ks. prefekt. Nauczycielowi nigdy uczniowie nie zapomną rozminięcia się z prawdą, — a ks. prefektowi nigdy go nie darują. Nawet kłamca dla prawdy ma szacunek, uważając ją za wielkie, wspólne całej ludzkości dobro, tem więcej młodociane dusze mogą ją wprawdzie same czasem sponiewierać, ale nigdy nie przestają jej czcić. Gdyby zatem zauważyły, że ją zlekceważył ten, który z urzędu i powołania powinien być jej stróżem, miałyby do niego słuszny żal. Zgórą sześćdziesiątkę dźwigał na grzbiecie radca szkolny a jeszcze mi ze zgrozą opowiadał o swym ks. prefekcie, który wobec siódmej klasy w sprawie dla siebie niemiłej chciał się zasłonić kłamstwem. Pogrzebał się tym sposobem na zawsze, ponieważ młodzieniaszki, znając skądinąd przebieg rzeczy, jego wykrętnemu wyjaśnieniu nie dały wiary.

Nieposzlakowana prawdomówność i szczerość wychowawcy zdziałać może bezsprzecznie dużo, ale nie zrobi jeszcze wszystkiego. Nauczyciel winien podjąć specjalne i dobrze obmyślane zabiegi, o ile chce, ażeby w jego klasie panowała szczerość, ażeby jego uczniowie nawykli zawsze mówić prawdę. Musi przedewszystkiem z pośród nich wyplenić kłamstwo — musi wytępić tego

bakcyla, który w duszach młodocianych niweczy poczucie prawdy.

Widocznie kłamstwo już bardzo ludziom dało się we znaki, skoro dziś wszyscy moraliści, pedagogowie i psycholodzy tak mozolne nad niem przeprowadzają dociekania. Omal, że każdy podręcznik z zakresu wymienionych nauk osobny poświęca mu rozdział; co więcej jesteśmy w tem szczęśliwem położeniu, że już posiadamy osobną pedagogję i psychologję kłamstwa. Nas obecnie obchodzą najbardziej przyczyny, które malców skłaniają do tego występku.

Uczeń lub uczenica z prawdą może się minąć dla różnych powodów. I tak czasem kłamie z prostego urojenia czyli „buja“, że użyję w okolicach Krakowa znanego wyrażenia; to znowu dlatego mówi nieprawdę, bo dla podtrzymania solidarności klasowej nie chce wydać winnego, lub z tego powodu, bo się sam lęka nagany czy kary; innym razem skłamie z pychy, by zaimponować rówieśnikom, to znowu z zazdrości i złośliwości, by zaszkodzić lub dokuczyć bliźnim.

To najogólniejszy podział kłamstwa ze względu na przyczyny. Trudno nie dostrzec, że każdy z wymienionych rodzajów inaczej się przedstawia, że skutkiem tego na każdy z nich trzeba poszukać osobnego lekarstwa.

Najniewinniejsze jest „bujanie“. Wśród najmłodszych dzieciaków szkoły powszechnej aż się roi od niego, chociaż można go czasem znaleść podostatkiem i w niższych klasach szkoły średniej. Dziecko obdarzone bujniejszą i niewyszkoloną wyobraźnią, przy częstej zmianie miejsca, wrażeń i otoczenia ani wie o tem, że pomieszało myślne obrazy, biorąc urojenia za rzeczywistość, przesłaniając i fałszywie łącząc zrobione spostrzeżenia. Jak czuje i myśli w danej chwili tak mówi i dopiero, kiedy posłyszy dźwięk własnych słów, poczyna wątpić, ażali to naprawdę tak się wszystko odbyło, jak ono opowiedziało. Obawa, by go ktoś nie złapał na kłamstwie odbiera mu resztę przytomności, skutkiem czego kombinuje coraz większe kawały. Każdy, kto się zbliżył do gadatliwych malców, zrobił nie jeden raz podobne doświadczenie.

Oczywiście, że tu niema powodu do rozdzierania szat. Trochę uwagi, życzliwości i dobrej woli, a dziecko niedługo zaprowadzi równowagę między swemi myślami a słowami. Nie można mówić

do niego o kłamstwie, boć ono nie powiedziało świadomie nieprawdy — ono się tylko pomyliło i dlatego wytrawny pedagog wykaże mu z całą pobłażliwością, z uśmiechem na ustach pomyłki i niedokładności, jakich się dopuściło, a natomiast poważnie je zachęci, by więcej się zastanawiało nad tem, co ma powiedzieć jeśli niewie czegoś dokładnie, niech lepiej nic nie mówi, bo inaczej może wpaść w niepożądany nałóg. Czasem jedna lub druga tego rodzaju rozmowa osiągnie zamierzony skutek; kiedyindziej trzeba ją powtórzyć po kilka razy a nawet użyć ostrzejszych napomnień, ale ostatecznie „bujanie" zawsze można wyplenić.

Kto wie, czy najwięcej kłopotu nie sprawia wychowawcy tak zwane „honorowe kłamstwo". Uczeń nie powie prawdy a nawet sam niewinny przyjmie winę na siebie, by drugiemu pomóc w biedzie, by nie ściągnąć na niego nagany czy kary. Postąpiłby jak najgorzej, ktoby chciał gniewem czy oburzeniem przygnieść tego morskiego węża. On płynie przez ocean czasu od niepamiętnych lat i wszędzie wśród zrzeszeń dobrych czy złych znachodzi gościnę — owszem swój jad osłania nimbem bohaterstwa i stąd cień tchórzostwa, niekoleżeństwa spada na tych, którzy się bronią przed jego ukłuciem. O ile przeto chcemy go wytropić z obranego legowiska, to musimy zmażdżyć podstawę, na której się wspiera, musimy wychowankom wytłómaczyć, że fałszywa solidarność nie jest koleżeństwem, że chwilowa, kosztem prawdy okupiona korzyść, im samym największą wyrządza krzywdę, bo ich oswaja i przyzwyczaja do poniewierania tego, co jest niezbędnym warunkiem dla rozwoju rodzin, społeczeństw i narodów. Nauczyciel przy tej sposobności wyrazi swoje uznanie dla tego ucznia odwagi i bohaterstwa, jakiem się kierowali uczniowie, ukrywając prawdę, ale równocześnie napiętnuje winowajcę, który swoją złość i tchórzostwo usiłuje zasłonić i przykryć bohaterstwem kolegów. Tym sposobem zrozumieją wszyscy, że tak pojmowana i kultywowana solidarność może służyć za płaszczyk dla niejednej zbrodni. Choćby więc tym razem nie zeszli z obranego stanowiska, to na przyszłość i winny nie będzie chciał uchodzić w oczach rówieśników za niedołęgę lub tchórza i koledzy nie będą się kwapili, by pozować na bohaterów w tem, co już raz uznali za nierozsądne.

Najczęściej młodzież mija się z prawdą, bo się lęka zasłużonych następstw. Opuścił uczeń szkołę — bo miał przyczynę;

raz bolała głowa, to znowu ręka, noga, żołądek, ślepa kiszka, czy zęby — innym razem matusi służył w chorobie, jeździł po lekarza, chodził po lekarstwo, ojca odprowadzał na kolej, szewc nie przyniósł butów, krawiec nie skończył ubrania, spóźnił kolej, tramwaj się wywrócił, rozruchy były na mieście. Ktoby zresztą zdołał wyliczyć te najróżnorodniejsze powody, które uczniom na drodze do szkoły stanęły na przeszkodzie. Ich prawdziwości nie można podawać w wątpliwość, boć zawsze za niemi stoi powaga rodziców, którzy je stwierdzili podpisem i na każde zawołanie mogą je poprzeć, sąsiadów, znajomych czy lekarza świadectwem.

Nie mniejsze przeszkody miał uczeń, skoro nie umie zadanej lekcji. Z innych przedmiotów miał cały ogrom roboty, a więc któryś z profesorów winien, bo zadał za dużo, wbrew obowiązującym przepisom; wujek się żenił — trzeba mu było posłużyć, bo stary i nie umie w porządku trzymać toalety; ojciec zmieniał mieszkanie — dobry syn przenosił sprzęty; siostra dostała ostrego ataku nerwów; przedsiębiorca dostarczył aż cały wagon węgla i t. d. Gdy się zapali taki pilny uczeń, to gotów spadanie gwiazd na ziemię podać jako jeden z powodów, dla których nie mógł się przygotować, byleby tylko wzbudzić litość czy zgrozę w sercu profesora a tak uniknąć zasłużonej dwóji.

W podobny sposób tłómaczy się uczeń, gdy przekroczył przepisy szkolne lub inne popełnił przestępstwo.

Jak należy patrzeć na te wszystkie nieszczęścia i katastrofy, jakie nawiedzają biedną młodzież, utrudniając jej pilne uczęszczanie do szkoły i w domu naukę? Może są tacy, którzy w to wszystko święcie wierzą — owszem i ja studjując lub czytając usprawiedliwienie ucznia, nigdy na jego prawdomówność nie rzucę cienia podejrzenia, o ile mnie przedtem nie oszukał, ale między Bogiem a prawdą, każdy z nas wie, że w tych usprawiedliwieniach czasem niema ani źdźbła prawdy. To nic, że na nich widnieje podpis rodziców a nawet lekarza; pierwsi bardzo często nie mają pojęcia o tem, co robią, a drugi dla przyjaźni, za dobre słowo, dla niezłej zapłaty wymyśli nawet dżumę azjatycką lub niewinną chorobę. Owszem, to może najgorsza strona kłamstwa, bo je uświęcają swoją powagą ci, którzy z obowiązku tępić je powinni.

Wobec tego ręce opadają, w serce wstępuje niemoc. A przecież są nauczyciele, którzy się z tą chorobą uporali po swoich

klasach, wykazując na przykładzie, że jak wszędzie, tak i tu strach ma wielkie oczy.

Jeżeli uczeń kłamie, bo się boi, to trzeba tak zrobić, by się nie bał, a wtedy powie prawdę. Innej rady niema. Skoro on będzie miał do swego wychowawcy zaufanie, skoro nabierze przekonania, że profesor umie rozróżnić usterkę, zapomnienie, niedokładność od występku i nie zawsze winnym wyznacza najwyższą karę, — skoro odczuje, że nauczyciel przyjmie jego usprawiedliwienie ze względów pedagogicznych, ale w głębi duszy nie da mu wiary, to naprawdę nie będzie zmyślał niestworzonych rzeczy, nie będzie łgał i oszukiwał, ale wyzna prawdę i podda się ochotnie zasłużonej karze. Niewątpliwie najbardziej serdeczne i wypróbowane metody na nic się nie zdadzą, kiedy wejdą w grę jednostki przewrotne i złe. Ale i to pewne, że takich indywiduów będzie nie dużo; w każdym razie, jeśli ich nie zdołasz pozyskać dobrocią i szczerością, to surowością chyba tylko utwierdzisz je w złem. Choćby się taki niedobry uczeń do winy nie przyznał i na razie skłamał, toć przecież dowód twej szlachetności i wyższości duchowej zapisze się w jego pamięci i tak przez jego duszę nie przejdzie bez śladu. W klasie siódmej znalazł się uczeń chyba przez pomyłkę. Nieprawy i nierozwinięty wywierał mimo wszystko wielki — oczywiście — ujemny wpływ na kolegów tak, że w oczach niektórych począł uchodzić za klasowego bohatera. Ufny w swą gwiazdę szczęśliwą pozwolił sobie wobec kolegów na wybryk, za co groziło mu wydalenie. Zdala dojrzał to profesor, który na drugi dzień na godzinie zażądał od niego wyjaśnień. Rzecz prosta, że ów urwisz wyparł się wszystkiego a w dowód swej niewinności złożyt słowo honoru i powołał się na świadectwo klasy, z którą przedtem wszedł w porozumienie. Cóż na to wszystko zrobi ów pedagog? Czyż może gniewem się uniesie i zawoła: nie kłam — ja sam widziałem! Bynajmniej! Uśmiechnął się znacząco i z całą dobrocią powiedział: „Cóż mam uczynić? Muszę ci wierzyć, bo inaczej obdarłbym ciebie z resztek honoru, a całej klasie zarzuciłbym nieuczciwość. Idź na miejsce i będąc przekonany o swej niewinności, miej spokojne sumienie!“

Zuchowi z orbit wystąpiły oczy. Liczył na awanturę, na dociekania i śledztwa, tymczasem musi „iść na miejsce i powinien mieć spokojne sumienie“. Nie mogąc zdusić w sobie złości, naklął z cicha i siedział jak skamieniały. Po godzinle wybiegł i rozbierał

słowa profesora. A więc resztki honoru mogłem słusznie stracić, a nawet straciłem, boć dałem słowo na fałsz. To mu wystarczyło. Po kilku dniach klasę przeprosił a później zbliżył się cichaczem do owego profesora i prosił o przebaczenie a nawet oświadczył, że go wobec wszystkich kolegów przeprosi. Profesor jednak nie przestał być sobą, bo wysłuchawszy samooskarżenia, rzekł: „Idź do klasy i swej poprawy dowiedź mi czynem, a możesz to zrobić, bo ci nie brak ani zdolności ani nawet dobrej woli, którąś stępił swą lekkomyślnością i fanfaronadą". Znowu ten urwisz usłyszał coś, czego się nie spodziewał. Może po raz pierwszy ktoś mu powiedział, że w nim tkwi dobra wola, że posiada zdolności, że może być dobrym, byleby chciał. Spróbował i pokazało się, że nie napróżno. Wszyscy się dziwili, że tak ogromna w nim zaszła przemiana, ale mało kto wiedział, jak wyglądało jej źródło.

Trudniej walczyć spokojnie z kłamstwem, które z pychy bierze swój początek. Tyle bowiem kryje się w niem złości i brzydoty, że każdy jego objaw działa nam na nerwy. Ostatnia niedołęga w klasie, a matka mu wierzy, gdy opowiada, że daje najlepsze odpowiedzi a nawet w wykładzie nauczyciela od czasu do czasu zauważy nieścisłości, podchwyci błędy. Nicpoń skończony, a udaje bohatera cnoty. Na poddaszu, z ubogich rodziców przyszedł na świat, a ustawicznie wertuje Paprockiego, żeby z pośród książęcych znaków wybrać dla siebie herb. — Nie na wiele się zdadzą perswazje i dysputy, bo pycha jest nieodzowną córą głupoty. Najlepiej czekać, aż się nadarzy sposobność i takiego pyszałka zmyć spokojnie najprzód w cztery oczy a jeśli to nie pomoże, wobec całej klasy. Pyszny bowiem koloryzuje na swoją korzyść każde opowiadanie, dopuszcza się przesady, zmyśla niebywałe historje. Trochę cierpliwości, a sam wpadnie w pułapkę własnych wymysłów. Jeśli wówczas nauczyciel umiejętnie wyprowadzi go na prostą drogę, jeśli mu wykaże, dlaczego się potknął, i jak daleko może zajść, gdy się nie wyzbędzie kłamstwa, jeśli mu wobec kolegów udowodni, że kłamiąc, miasto upragnionej sławy i wzięcia, zyskuje wśród otoczenia dla siebie niechęć, lekceważenie i wzgardę, to niezawodnie otworzą mu się oczy i pocznie szukać prawdy a nie wyłącznie siebie.

Nie tyle rozsądek czy doświadczenie, ile raczej uczucie radzi ostrzejszy i bezwzględniejszy sposób postępowania tam, gdzie zachodzi kłamstwo podyktowane zazdrością, złośliwością, chęcią

szkodzenia. Niejednokrotnie jest ono wynikiem chorobliwego stanu duszy; częściej tkwi w przekornej, chorobliwie pysznej naturze albo stanowi dorobek fałszywego, spaczonego wychowania. Więcej niż średnio uzdolniony uczeń w czwartej klasie powszechnej dał odpowiedź bezdennie niemądrą. Zdziwiona nauczycielka wprost zażądała od niego, by się przyznał, kto mu tak mądrze podpowiedział. I pokazał, że mu taką przysługę oddał najlepszy uczeń, który zawsze się gniewał, ilekroć ktoś z kolegów dobrze odpowiadał. W tej chwili dowiedział się od wychowawczyni, jak brudnie i nieuczciwie wobec serdecznego i dobrego kolegi postąpił, jak niedobrą i przewrotną musi być jego dusza, skoro się nie cofnęła przed tak nieludzkim i niechrześcijańskim czynem. Przygnieciony własną nieuczciwością wszedł w siebie i począł się zmagać z wrodzoną zazdrością. Nie zdusił jej za jednym zamachem. Jeszcze dziś jako uczeń klasy VII w szkole średniej zdradza czasem uczucie zadowolenia, kiedy się rówieśnikom odpowiedź nie powiodła ale upomniany wzrokiem ks. prefekta, zaraz się zwycięża i znać, iż nieświadomie tylko poszedł za wrodzonym popędem.

Z wyrozumiałą tedy stanowczością i bezwzględnością winniśmy wystąpić przeciw tej istotnie marnej wadzie, by ją zdusić w samych początkach. Jednostka, w której nauczyciel odkrył zarodki tej zresztą dziś niezbyt rzadkiej złości, musi zrozumieć, że najwięcej sobie szkodzi i nabawia się niesłychanych tortur, o ile nie podejmuje wstępnej walki z tą ohydną poczwarą. Otrzyma również wskazówki i rady zwłaszcza od ks. prefekta, jak ma postępować wobec kolegów czy rodzeństwa, jak winien obserwować swoje myśli i uczucia, ażeby nie pójść za tą brzydką, z godnością człowieka a tem więcej chrześcijanina, tak bardzo sprzeczną skłonnością. Gdy będzie wiedział, że ktoś nad nim czuwa i wygląda po nim poprawy, nie będzie się lenił, ale z tem większą energją podejmie pracę.

Przeczuwam,. z jakim zarzutem mógłbym się spotkać obecnie.

Przecież to wszystko dotąd wykonywała szkoła a mimo to kłamstwo rozwija się i panoszy! Czy jednakże wszystko? I czy na ten sposób? Może my kapłani, ale wśród świeckich nauczycieli nie wielu naliczysz takich, którzyby pod tym względem nie mieli grzechów na sumieniu. Czy zresztą my sami, zawsze zbliżaliśmy się do tej bolączki moralnej z usposobieniem lekarza, który maścią i obkładami zabliźnia ropiejące rany? Czy nie

spełniamy częstokroć roli chirurga, który wszystko chce ciąć i wypalać? A właśnie od tego usposobienia najwięcej w tym wypadku zależy.

Poza tem zastrzeżeniem przyznaję, że w rzeczywistości z kłamstwem nie wchodziliśmy nigdy w żadne sojusze, żeśmy je zwalczali nawet poprawnym sposobem. A jednak nie wywołam chyba u nikogo zdziwienia czy sprzeciwu, gdy powiem, że właśnie w tem leży cała nasza wina. Szkoła bowiem tępiła kłamstwo i sądziła, że to wystarczy. Tymczasem nienawiść choćby największa jednego przedmiotu nie jest równoznaczna z miłością jego przeciwieństwa. Między temi pojęciami istnieje przestrzeń przeogromna, którą dotąd rzadko kto z pedagogów usiłował przebyć i zgruntować.

Trzeba nam więc tak oddziaływać na młodzież, by odwróciwszy się ze wstrętem od blagi, ukochała równocześnie prawdę w jej wszystkich przejawach, a wtedy nasze najmłodsze pokolenia będą prawdomówne.

Nie wystarczy powiedzieć czy nakazać, żeby dziecko imitowało wszystko, co jest słuszne i uczciwe, ale należy je uczyć i objaśniać, dlaczego i w jaki sposób winno w sobie wyrabiać i pielęgnować wzniosłe poczucie prawdy.

Wytrawny nauczyciel tak każdą poprowadzi lekcję, że ucząc, wzbudzi w dziecięcej duszy umiłowanie cytowanych i objaśnionych prawd. Żadnych niedomówień, żadnych niejasności nie zostawi po swoim wykładzie. Malcy muszą go tak pojąć i zrozumieć, by nie miały powodu do stawiania uzasadnionych pytań, by w swojem sercu nie czyniły żadnych wątpliwości. Ile światła wnosi z sobą w młodzieńczą duszę tak odbyta godzina, każdy z nas może się snadnie o tem przekonać, skoro po udałej lekcji religji rzuci okiem po rozweselonej dziatwie. Cały czas uważali, a przecież nie widać u nich znużenia; przeciwnie wszyscy weseli, zadowoleni, a uśmiechnięte oczy rwą się ku tobie, jakgdyby ci chciały z wdzięcznością powiedzieć: „a widzisz, dziś wszystko było jasne, dziś wszystko zrozumieliśmy“. Umysł zapali się do prawdy, bo zrozumiał, serce ją pokocha, bo jasna i miła, a tak z nieoświeconego malca wyrabia się zwolna miłośnik i wyznawca prawdy.

Może najtrudniej przyjdzie nam uczynić zadość temu warunkowi, jako że prawdy przez nas wykładane przewyższają w nie-

skończoność uzdolnienie młodocianego umysłu. Czyż bowiem można tak uprzystępnić i wyjaśnić dzieciom tajemnicę Trójcy Przenajświętszej lub dzieło odkupienia, by w nich nie znalazły większych trudności? Nie ulegajmy jeno pozorom i nie liczmy wyłącznie na nasze słabe siły. Wiemy przecież z doświadczenia, że dziecko może więcej niż starsi nie rozumie, ale odczuwa tę granicę, na której kończy swą działalność umysł, a rozpoczyna wiara. Z pewnością malcowi ani na myśl nie przyjdzie, żeby nas zapytać o sposób, jak bytują trzy Boskie Osoby w jednej naturze lub jaką wartość miała — przypuśćmy — modlitwa Pana Jezusa w ogrojcu, ale napewno z ciekawością będzie wyczekiwać wyjaśnień o raju, o pierwszym człowieku, o wężu, o potopie, o słupie soli, o arce i t. d. Jeżeli więc te i podobne pojęcia wyjaśnimy możliwie najlepiej, jeżeli je uzgodnimy z temi danemi, jakie uczeń już zaczerpnął z innych działów wiedzy, to o zrozumienie tajemnic wiary możemy być zupełnie spokojni. Dziecko je przyjmie dlatego, bo je Bóg objawił, a łaska Boża dokona reszty.

Na ten szczegół lub raczej warunek musimy w nauczaniu religji położyć większą, niż dotąd wagę — tem bardziej, że według nowych planów na najniższe klasy szkoły średniej przypadnie dużo pojęć, które ze względu na nauki przyrodnicze wymagają wielu i przezornych objaśnień.

W roku ubiegłym wykładałem w trzeciej klasie St. Test. Skończyłem heksahemeron Mojżesza i pytałem całości. Uderzyło mnie, że jeden z najzdolniejszych malców dość długo się wahał i kręcił, ale nie mając ochoty przerywać sobie toku lekcji, chciałem pomówić z nim po godzinie. Aż tu niepytany podnosi się nerwowo ów mały filozof i dość śmiało tak się odzywa: „ks. prefekt nam mówił, że człowieka stworzył Pan Bóg; to cóż w takim razie mamy powiedzieć o tych, którzy udowadniają, iż rodzaj ludzki przez ewolucję pochodzi od małpy?“ Świadomie nie poruszałem w wykładzie tej zawiłej kwestji, ponieważ nie przypuszczałem, by któryś z malców bardzo dobrych i pobożnych już sobie nią zaprzątnął głowę. Przeliczyłem się, i skutkiem tego chłopczyk dużo się nakłopotał i napocił, bo nie umiał pogodzić moich twierdzeń z tem, co wyczytał w popularnych broszurkach z zakresu antropologji. Nie napotkałem u niego uporu. Ponieważ pytanie postawił wobec całej klasy, zaraz mu na nie dałem odpowiedź. Łatwo odgadnąć, że znacznie mniej byłbym stracił czasu

i byłbym wywarł korzystniejsze wrażenie, gdybym był wspomniane zagadnienie uwzględnił i choćby w krótkości rozwinął wówczas, kiedy mi wypadło zkoleji mówić o stworzeniu Adama.

Konieczny tu jednak wielki takt i wyczucie psychiki dziecka. Cóżby to za niesłychana była lekcja w obecnej pierwszej klasie gimnazjalnej, gdyby kto chciał kwestje geologiczne, antropologiczne, historyczne wobec tych malców wyłożyć na sposób, jaki był odpowiedni dla dawnej klasy VI a nawet VIII? Trzeba pamiętać o czem i do kogo mówimy, bo w przeciwnym razie powiemy albo za dużo albo za mało z tem większą szkodą dla dziatwy, że tu chodzi o najwyższe a dla niej najistotniejsze prawdy.

Dodatnio również wpływać na wyrobienie w młodych sercach umiłowania prawdy powinien sam przedmiot nauki.

Wszak tyle w naszych podręcznikach szkolnych znajduje się ustępów, które albo celowo albo ubocznie zmierzają ku temu, by w uczniach budzić prawość, uczciwość i prawdomówność.

Z przykrością jednak trzeba zaznaczyć, że niezawsze nauczyciele wydobywają z nich tyle walorów moralnych, ile by wydobyć mogli, gdyby chcieli i umieli. Znam wypadek, że nauczyciel dlatego pominął w czytance polskiej ustęp o prawdomówności św. Jana Kantego, bo wogóle nie uznawał żadnych świętych. Pewno, że podobnych sobie wśród szerokich mas nauczycielskich nie miał wielu, ale już stąd nasuwa się wniosek czy przypuszczenie, że odłogiem w książkach szkolnych leży dużo takich ustępów, gdzie występują wyznawcy Krzyża jako miłośnicy prawdomówności, jako bohaterzy prawdy. To widocznie było powodem, że autorowie nowych lub raczej najnowszych podręczników dużo opuścili z pomiędzy tych ustępów, które za naszych czasów budziły w młodzieży zamiłowanie prawdy, które nam realnie wykazywały, iż Zakon Chrystusowy był, jest i będzie największym apostołem, największym czcicielem prawdy,

Wspomniałem o tem dlatego, bo sądzę, że ks. prefekt powinien tylko czuwać w sposób oczywiście bardzo dyskretny, by w ich zakładach nauczyciele nie robili w ustępach dowolnej elekcji a nadto nie byłoby mojem zdaniem od rzeczy, gdybyśmy się pod tym względem upomnieli o nasz dawny stan posiadania.

Braki i zaniedbania nauczycielstwa w tym zakresie jeśli są, wypadnie nam zastąpić i wyrównać przez umiejętne i rzeczowe

wyzyskanie odpowiednich opowiadań z natchnionych ksiąg St. i N. Przymierza. Nie chciałbym łowić w Atenach sów i dlatego nie będę mówił o niedosięgłym i nadziemskim ideale prawdy, jaki ludzkości zostawił Pan Jezus. Nie potrzeba tu żadnych objaśnień ani zastosowań; samo opowiadanie serdeczne o Boskim Mistrzu najskuteczniej uczy a równocześnie skłania dzieci, by przez życie przeszły w najściślejszej łączności z prawdą. Mam jednak wrażenie, iż nie dość wyzyskujemy dla naszego celu takie opowiadania jak o Noem, Jakóbie, Józefie, Samuelu, Ejlaszu, Izajaszu, Jeremjaszu, Danielu, Piotrze, Janie i tylu innych, gdzie prawda ściera się z kłamstwem, czy blagą, z oszustwem czy przemocą i zawsze z potyczki wychodzi zwycięsko. Z jasnego uwypuklenia tego właśnie momentu we wspomnianych zdarzeniach biblijnych dzieci wiele skorzystają, ponieważ na realnych przykładach zobaczą, że prawdę mówić trzeba i warto nawet w obliczu śmierci.

Rousseau nie chciał dopuścić do szkoły bajek La Fontaine'a, bo sądził, że na ich podstawie dzieci więcej się zaprawią do podstępu, oszukaństwa, obłudy niż do uczciwości i cnoty. Z podobnym zarzutem występowano już nieraz przeciw nauce „Historji biblijnej". Czy jednakże słusznie? Rousseau a za nim inni mniemają, że dzieci będą dobre i szczęśliwe, byleby tylko do nich nie doszła żadna „wiadomość złego i dobrego". Ale „na tem cała sztuka"! Choćbyśmy dziatwę wywieźli śladami Rousseau'wego Emila na łono przyrody, choćbyśmy naszych miejskich pieszczochów odcięli od świata, to i tak „wiadomość złego i dobrego" do nich dotrze może wcześniej, niż przypuszczamy, poniesie ją do nich usłużne piśmiennictwo, towarzystwo a w najgorszym razie grzechem skalana natura. Na to rady niema. Nie popełniamy przeto najmniejszego pedagogicznego błędu, mówiąc oględnie i z odpowiednim nastrojem o występkach, których nie brak szczególnie w St. Zakonie; przeciwnie, dzieciom wyświadczamy wielką moralną przysługę, kiedy im przedstawiamy zło a równocześnie wskazujemy na nieodwołalne i bardzo ciężkie kary, jakiemi sprawiedliwość Boża raz po raz tępiła lub smagała jego służalców na ziemi.

Możemy więc i powinniśmy budzić w uczniach zamiłowanie prawdy nawet wtedy, gdy nam wypadnie mówić do nich o kłamstwach opisanych w księgach biblijnych.

Przedewszystkiem jednak musimy w samym uczniu wyrobić podłoże i tak przeorać glebę jego serca, by się na niej mogło

przyjąć i rozwinąć umiłowanie prawdy i prawdomówności. Nie mogę tu nie przytoczyć następujących słów Foerstera: „Najpewniejszą ostoją prawdomówności będzie po wieki wysoko rozwinięte poczucie honoru i przekonanie o własnej godności“. Niemasz w nich najmniejszej przesady. Jak długo chłopczyk szanuje własną godność, tak długo nie kłamie, a jeśli z tego lub innego powodu minął się z prawdą, natychmiast za błąd popełniony czyni pokutę, oblewając się rumieńcem wstydu; przeciwnie, skoro tylko własne sumienie wyprał z honoru i zasiadł w towarzystwie nieuczciwych ludzi, bez zająknienia łże jak najęty a schwytany na bladze czy oszustwie, nie przyzna się do winy, lecz na wszelkie sposoby będzie się bronił i wykręcał.

O ile więc chcemy, by z naszych szkół wychodzili ludzie, którzyby zawsze mieli odwagę „dać świadectwo prawdzie“, to nie pomijając innych czynników moralnych, musimy w nich rozwinąć poczucie honoru, poczucie własnej, osobistej godności. Zaznaczyć wypadnie, iż honor, który według Foerstera ma być ostoją prawdomówności, niema nic wspólnego z pychą, górnem o sobie mniemaniem, a tem mniej z zewnętrznem choćby najwyższem dostojeństwem. Pyszałek bowiem właśnie dlatego, że jest pyszałkiem, mija się z prawdą, bo żąda dla siebie nadmiernej czci i uznania. Historja znowu niejednokrotnie zestawia ukoronowanych nicponiów i oszustów obok nieposzlakowanych na honorze biedaków. Kto ma głębokie i uzasadnione przekonanie, że mu nikt rozumny i uczciwy nie może słusznie zarzucić żadnej zdrożności, żadnej moralnej winy, ten „posiada swój honor“, ten czuje tem samem, że jest całym i godnym tego miana człowiekiem. Pielęgnować, uszlachetniać i rozwijać to przekonanie — znaczy tyle, co wyrabiać w wychowanku poczucie honoru.

„Kto się sam nie szanuje, ten niewart, by go szanowali drudzy“ — powiada przysłowie. Można je atoli odwrócić i z pewną słusznością stwierdzić, że kogo zdeptają i nieprawnie poniewierają ludzie, ten zwykle traci ufność w siebie i z wolna nabiera przekonania, że napewno nie wiele wart, skoro nim tak bardzo pomiatają drudzy. Nie zważali na tę psychologiczną prawdę świeccy nauczyciele, a czasem i nam ulatywała z pamięci. Sposób, w jaki karcono lub ganiono uczniów, wszystkie śledztwa szkolne — w wielu wypadkach doprowadzały do tego, że wychowawca nie poprawiał, lecz dobijał moralnie ucznia.

Kilku chłopców „wspólnemi siłami“ spłatało niezgorszego figla tak, że dyrektor kazał wychowawcy przeprowadzić śledztwo. Ale od czegóż studencka solidarność? Wszyscy niewinni jak baranki. Natenczas opiekun-młokos daje słowo honoru, że im wszystko ujdzie bezkarnie, byleby się tylko przyznali do winy. Wstał jeden, który od początku doradzał wszystkim szczerość i otwartość i rzekł cicho: ja; inni już nie poszli za jego przykładem. Epilog? Wprost potworny! On, który nie w nadziei bezkarności, lecz z poczucia prawdy wyznał się być winnym, odsiedział 12 godzin karceru i dostał na świadectwie rocznem zepsute obyczaje a tymczasem inni winowajcy uszli kary i później widział, że w kułak śmiali się z niego. Dla ścisłości dodam, że się to działo w roku 1914, że to wszystko wiedziała i zatwierdziła cała rada pedagogiczna w obecności ks. prefekta. To besztanie i wymyślanie wszystkich uczniów, choć tylko jeden popełnił głupstwo — to obcesowe wmawianie winy, o której chłopiec pierwszy raz słyszy z ust profesora — to żądanie zeznań pod słowem honoru od młodzieniaszka, któremu się przedtem nabiło uszy wszystkiemi, ziemskiemi i piekielnemi torturami — toć chyba dość jaskrawy, choć nienajwiększy wśród tych powodów, dla których wyżej napomknąłem o „dobijaniu moralnem“ dziatwy w szkole. Bo i pytam, czy ów nauczyciel, który dla zaspokojenia swych szpiclowskich popędów złamał publicznie dane słowo, nie zranił najuczciwszego z pośród innych zresztą niezłych psotników? Czy całej klasy nie naprowadził na wniosek, że można być światłodawcą i nosić na sobie szczytny tytuł doktora filozofji i profesora a mimo to mieć duszę płaską i nikczemną?

Wszędzie panuje prawo działania i oddziaływania. Nasi wychowankowie będą z nami otwarci i szczerzy, o ile my naprzeciw nich wyjdziemy z prostotą umysłu i życzliwem sercem. Niech z naszych ust nigdy nie wymknie się słowo, któreby w czemkolwiek uwłaczało czci i dobremu o sobie mniemaniu ucznia. Zawsze wyszukujmy w nim dobre zalety i strony i dopiero po ich stwierdzeniu wykażmy im usterki i niedomagania. W śledztwach, które czasem wypadnie przeprowadzić, szczerością i łagodnością starajmy się doszukać prawdy, nigdy nie uciekajmy się do kruczków czy donosów, bo tym sposobem możemy jedno przewinienie wyśledzić, ale w całem usposobieniu moralnem jednostek a nawet całych mas porobimy ogromne wyłomy. Nie przypuszczam takich ewentualności, żeby wychowawca bez skrupułów mógł lub musiał żądać

od ucznia uroczystych zaklęć czy słowa honoru. Honor to wielka rzecz i chyba ten nosi go na ustach, kto się go wyzbył z sumienia i serca.

Ks. prefekt wtedy będzie miał wgląd w duszę młodzieniaszków, gdy swą życzliwość i szczerość wobec nich posunie do ostatecznych granic. Powszechnie wiedziano, że ks. prefekt na nikogo nie skarży, nikomu nie psuje obyczajów, do kozy nie zamyka, a na konferencjach, o ile może, wszystkich broni. Do łagodnych nie należał, bo czasem chłopcu na kolanie przetrzepał skórę, nie wahał się leniwcowi na świadectwie dać z religji dwójki, a mimo to wszyscy garnęli się do niego. Często po bardzo ścisłem śledztwie, jakie przeprowadzał wszechwładny i wszystkowiedzący profesor, chyłkiem zbliżał się indagowany uczeń do swego duszpasterza i tu dopiero śpiewał całą prawdę, z której ledwo okruchy wyksztusił w śledztwie.

Inni cięli i operowali a ks. prefekt leczył. Przypuszczam, że mimo swoje pobłażanie zdziałał dużo dobrego dla młodzieży a przedewszystkiem zaprawiał ją do szczerości i prawdomówności w życiu, plenił w niej hipokryzję, obłudę i oszustwo.

Najlepsze poczynania szkoły bardzo często paraliżuje rodzina. I tam nie braknie nahajkowych metod wychowania; często przewrotność ojca, obłuda matki, nieżyczliwość i nieszczerość obojga dla bliźnich — to miazmaty kłamstwa, które wdychają dzieci od pierwszych dni swojego istnienia. A jakież walne wskazanie moralne podaje synowi ojciec, kiedy mu podpisuje lub u lekarza wyrabia fałszywe usprawiedliwienie! Czyż możemy na tę małpią a ogromnie zgubną robotę patrzeć bezczynnie? Pewno, że nie zdołamy odmienić tych urodzonych pedagogów, boć trudno wytłumaczyć gadatliwej mamusi, żeby nie życzyła jak najrychlejszego przejścia do królestwa niebieskiego tym, których przed chwilą żegnała całą kopą najsłodszych wykrzykników. Nie uważam jednak pozycji za straconą. Mamy obecnie komitety i zebrania rodzicielskie; tu mówiąc o współdziałaniu domu ze szkołą w pracy wychowawczej, można rodzicom otworzyć oczy na niejedno przewinienie, którego się tylko dlatego dopuszczają na niekorzyść własnych dzieci, że sobie jego doniosłości i opłakanych następstw bynajmniej nie uświadamiają. Spokojne zilustrowanie charakterystycznych wypadków, przytoczenie sądów, jakie o nich wypowiedziały same dzieci, musi trafić do przekonania; ojciec, opowiadając o swych

podstępach i oszukańtwach handlowych czy politycznych, nie będzie szukał u dzieci dla siebie zachwytu; matka, szarpiąc cześć bliźnich, przynajmniej dla grzeczności i pouczenia swej córki doda, że prawdopodobnie nie są jeszcze tak bezdennie źli, skoro przebywają nie w piekle, lecz na ziemi; szkoła będzie odbierała coraz mniej świadectw i usprawiedliwień a wśród nich coraz więcej autentycznych i prawdziwych.

Jeśli szkoła i dom w pracy wychowawczej pójdą sobie na rękę; jeśli w tem przekonaniu, że kłamstwo jest największą plagą ludzkości, będą je tępić wspólnym wysiłkiem, to możemy żywić nadzieję, że z naszych wychowanków wyrosną prawi, szczerzy i prawdomówni ludzie. Nie powinna nas zniechęcać w pracy ta niezaprzeczalna pewność, że wśród nich są i będą szachraje, kłamcy, blagierzy; przecież nam otuchy dodał Pan Jezus, zostawiwszy w spuściźnie przepiękną przypowieść o kąkolu i pszenicy. Pracujmy, a kiedy przyjdzie odwieczny Włodarz i pocznie oddzielać zboże od chwastów, może się przekonamy z radością, że nie wszystko było chwastem, cośmy w swej porywczości poczytali za kąkol.

Kraków. *Ks. Dr. Józef Rychlicki.*

Asceza w wychowaniu młodzieży.

(Dokończenie).

A s c e z a c i a ł a jest w latach dziecięcych stosunkowo bardzo ograniczona i musi nią być. Ciało zaczyna się dopiero rozwijać. Dziecko musi i więcej i częściej jeść, potrzebuje snu i t. d. Dlatego ponad to, co powiedziano, nie powinno się więcej od dziecka żądać. Oprócz tego wykonywanie dobrowolne małych umartwień jest utrudnione tem, że łatwo mogliby je zauważyć rodzice, rodzeństwo, koledzy i t. d. Te okoliczności mogą bardzo utrudniać dane ćwiczenia, gdyż rodzice mogą na nie nie zezwalać — jeśli zaś zezwalają, to łatwo takie ćwiczenia, jako rodzaj wyróżnienia, mogłyby przywieść dziatwę do próżności, faryzaizmu, do sadzenia się na nadzwyczajności.

Mimo to można zachęcić dziatwę do dobrowolnego wykonywania takich malutkich ćwiczeń ascetycznych, jak: odmawiania sobie jakiejś słodyczy, nie proszenia u drugich o porcję ulubionej

jakiejś potrawy i t. p. Można to uskutecznić bez zwracania uwagi niczyjej.

Odpowiedniem ćwiczeniem ascetycznem jest również znoszenie cierpień bez skarg i płaczu. Bezwątpienia nie należy żądać, ani tolerować tego, by dzieci przed rodzicami ukrywały swe cierpienia z heroizmu, mogą to bowiem być symptomy poważnej jakiejś choroby. Owszem trzeba naprowadzać dzieci, żeby zawsze wtedy, kiedy odczuwają jakieś boleści, bez zdawania sobie sprawy, jaka mogłaby być ich przyczyna, natychmiast powiedziały o tem rodzicom. Gdy jednak rodzice już o naszem cierpieniu wiedzą i odpowiednio też wkroczyli, to wtedy nie należy więcej płakać ani jęczeć — wszakże na zapytania, czy nas jeszcze boli, powinniśmy prawdę zupełną powiedzieć. Jest to dlatego ważne, ponieważ przeciwdziała się przez to często spotykanej u dzieci skłonności „być pożałowanem“, która może się wzmóc aż do histerji, jeśli się zawczasu nie przeciwdziała. Potem dostępnym dla ascezy jest również silny u dzieci popęd do ruchu i do okazania siły i wyładowania swej energji. Czasem iść nieco wolniej (zwłaszcza pod górę), stać lub siedzieć spokojnie, zamiast skakać i biegać, mówić cicho, zamiast na całe gardło krzyczeć — to środki odpowiednie do opanowania siebie. Trzeba jednak unikać wszelkiej przesady. Nie może to być regułą ogólną, są to tylko wyjątkowe sposoby zachowania się. Powtarzam, dzieci muszą się i nakrzyczeć i nabiegać do woli. Jedno i drugie potrzebne dla rozwoju organów i ujawnienia radości życia.

Wyliczone formy ascezy należą również do ascezy nerwów.

A s c e z a z m y s ł ó w. Jak ważna to sprawa, wiemy z doświadczenia. Śmierć wstępuje do duszy przez oczy. Już jako dzieci muszą się ludzie nauczyć tej sztuki, by przejść przez życie z otwartemi oczyma, ale umieć także w odpowiedniej chwili na niejedno nie popatrzeć. Do tego potrzebną jest asceza zmysłów. Asceza ta nie polega jednak na tem, że się odwraca oczy, gdy dany widok jest już bliską okazją do grzechu. Jest to bowiem najprostszy obowiązek sumienia. Pod grzechem nie wolno ani rozmyślnie, ani dłużej na takie rzeczy patrzeć. Ale żeby obowiązek móc ten spełnić, trzeba poprzednio już do tego się przygotować, odpowiednio zmysły swe umartwić. A nadto, gdyby często i dobitnie zwracało się dziatwie uwagę na te liczne złe i niebezpieczne rzeczy, na które nie powinno się wogóle patrzeć, to łatwo mogłoby się

osiągnąć wprost przeciwny skutek, pobudziłoby się tylko dzieci do zgubnej ciekawości. Właśnie przedmiotem ascezy są czynności same w sobie dozwolone, albo zaniechania nie nakazane. Sposobności do takich ćwiczeń jest dużo. Naprowadzić dzieci, by nie koniecznie szły natychmiast za popędem ciekawości i patrzyły zaraz na wszystko; jeśli nie otrzymają odpowiedzi na jakieś niebezpieczne pytanie, albo danego pytania nie zrozumiały, niech zaraz nie zamęczają drugich pytaniami swemi; oderwać się czasem od rozmów, w których niekoniecznie muszą brać udział i t. p. Są to dobre ćwiczenia woli.

Szczególniej pouczać dzieci, jak mogą ćwiczyć się w ascezie ócz, idąc ulicą. Oto idzie ktoś ulicą dziwnie, podpadająco ubrany, albo znowu dwóch ludzi rozmawia, giestykulując zawzięcie rękami, — do tramwaju wchodzi jakaś osoba ułomna i t. d. i t. d. Dobrze wychowane dziecko nie obraca się, nie przystaje, nie gapi się czy na daną scenę, czy osobę. Dobrze wychowane dziecko wczasie rozmowy nie pozwoli sobie gapić się na coś innego, nie jest roztargnione, nie przerywa bezmyślnie dyskusji i t. d. Na tego rodzaju ćwiczenia ascetyczne i ich doniosłość zwraca uwagę Foerster w swej „Jugendlehre“. Nieprzyzwyczajanie dzieci do tych form najprostszej zresztą grzeczności mści się potem w życiu późniejszem.

Asceza zmysłów jest nietylko negatywna — może być również pozytywna. Oczy mamy nato przedewszystkiem, ażebyśmy patrzyli, uszy — słyszeli. Opanowanie siebie, żeby nie patrzeć, nie słyszeć to wyjątkowe nieużywanie zmysłów, nieraz i konieczne. Naprowadzać jednak dzieci, ażeby to piękno rzeczywiste w naturze i sztuce uważnie oglądać się przyzwyczajały. Szczegóły podpadające, krzykliwe i tak same będą się zmysłom narzucały, przez co nadawać się będą raczej do ascezy zmysłów. Gdy przeciwnie piękno, nieraz ukryte głęboko, a wskutek tego niewpadające w oczy, może być przedmiotem ascezy czynnej. Ponieważ natura dziecka nie jest skłonna do zastanawiania się, wgłębiania, uważnego przypatrywania, wogóle do ścisłości, dlatego potrzeba pewnego nacisku woli, ażeby ją osiągnąć. Z tego powodu można tu mówić o ascezie.

Ale nie tylko piękno jest przedmiotem zmysłów — może nim być i to, co brzydkie, nieładne, odrażające w naturze. Wiele obowiązków nie wykonywalibyśmy wcale, gdybyśmy chcieli unikać

wszystkich niemiłych wrażeń. Wystarczy wspomnieć, ile to ofiar dla każdego prawie zmysłu wymaga pielęgnowanie chorych. Trzeba odważnie spoglądać na sceny, wywołujące czasem obrzydzenie, słuchać nieharmonijnych krzyków, znosić wstrętne fetory i t. p. To wszystko trzeba umieć przezwyciężyć i dlatego może i powinno być to przedmiotem ascezy dziecięcej. Oprócz tego muszą się dzieci nauczyć odróżniać pozory od rzeczywistości — zwłaszcza odnośnie do ludzi. U dzieci przecież sympatje i antypatje powstają na podstawie pociągających albo odstręczających zewnętrzności — a to dzięki naiwności dziecięcych zapatrywań. Z powodu braku doświadczenia sądzą dzieci, że, co piękne, to i dobre, i odpowiednie z tego konsekwencje wyciągają, które prowadzą zczasem do bardzo przykrych rozczarowań a co gorsza i niesprawiedliwości. Piękna na ten temat pogadanka u Foerstera: Die arme Marie. Że jednak w tych ćwiczeniach ascezy zmysłów trzaba być bardzo ostrożnym, że nie można uważać szkoły, zakładu, za jakiś nowicjat zakonny, tego podkreślać nie potrzeba.

Zmysły dostarczają materjału dla działalności fantazji. I fantazja potrzebuje ascezy i to w znaczeniu tak negatywnem, jak i pozytywnem. Znaczenie fantazji jest nader doniosłe dla życia etycznego. Umożliwia nam ona przenosić się już zawczasu w przyszłe sytuacje, przeczuć trudność, pokusy, tak że stajemy do walki już przygotowani, uprzedzeni przed możliwem niebezpieczeństwem. Fantazja dopomaga wydobyć się z zaklętego koła pokus, które człowieka trapią. Komu grozi niebezpieczeństwo przygniecenia przez smutne nastroje, pesymistyczne myśli, może zapomocą wyobraźni przenieść się w słoneczne krainy nadziei. Kto czuje się podniecony walką zmysłową, zapomocą samej wyobraźni może przedstawić sobie gorzkie owoce upadku, stawić się w obecności wiecznego Sędziego, albo na miejscu wiecznego potępienia. W takiem używaniu wyobraźni trzeba się ćwiczyć. Sposobności dają codzienne małe troski życia dziecięcego. Dziecko boi się jakiejś trudności, przykrości — wskazać dziecku, jak może unieść się na skrzydłach wyobraźni ponad te przykrości, przewidując, co je miłego czeka po przełamaniu trudności. Działania przyciszającego fantazję użyje wychowawca roztropnie, jedynie tam, gdzie będzie oczywiste niebezpieczeństwo grzechu. Zbyt za wiele słońca nigdy nie będzie dla lat dziecięcych.

Ale wyobraźnia kryje w sobie niejedno niebezpieczeństwo. Przewaga wyobraźni źle się nadaje dla życia realnego, rodzi fantastów, marzycieli. Już wśród dzieci znajdzie wychowawca takie typy. Gorzej jeszcze, gdy marzenia erotyczne wezmą przewagę — wtedy wyobraźnia staje się kotłowiskiem nieustannych pokus, niezliczonych grzechów. Stąd dziecko musi się nauczyć opanować swoją wyobraźnię, stosować się do miejsca i czasu, oddać się danej pracy, zajęciu z całem zainteresowaniem: „age, quod agis". Koncentracja uwagi, ćwiczenie się w skupieniu przy nauce, modlitwie i t. p. oto wdzięczne pole do ćwiczenia się w opanowaniu wyobraźni.

Właściwem polem dla ascezy są afekty, które, jeśli osiągają wyższe natężenia, nazywamy namiętnościami. Są one nam dane razem z naturą naszą, dlatego nie są ani złe, ani dobre. O ile one wybiegają wolę, nie są poczytalne. Mają jednak wielkie znaczenie dla życia etycznego, gdyż w wysokim stopniu zacieśniają wolność woli, utrudniając rozumowi powzięcie należytego sądu o moralności danej czynności i zniewalają wolę do decyzji, bez zachowania należnej rozwagi. Jeśli zaś wola sama wywołuje namiętność, wtedy człowiek odpowiada za nie w całej pełni. Obudzanie namiętności może być rzeczą dobrą, ale także i złą. Dobrą: o ile ułatwiają one duszy wznieść się do czynów wielkich, szlachetnych. Złą: o ile prowadzą do grzechu. Przedmiotem ascezy są afekty i namiętności, głównie o ile wyprzedzają wolę. Zapomocą ascezy musi człowiek doprowadzić do tego, że afekty coraz więcej przejdą pod panowanie woli, że coraz mniej będą wyprzedzały działanie woli i rozumu. Dalej asceza ma być środkiem do zapobiegania, by afekty, namiętności, które się budzą nieraz odruchowo, nie wybujały zbytnio. Ponieważ afekty powstają wskutek działania zmysłów i fantazji, stąd asceza zmysłów jest też pośrednio ascezą afektów. Powoli osiąga się panowanie nad fantazją, jeśli w chwili, gdy czujemy się podnieceni, zmuszamy się do zastanowienia, a potem dopiero, po rozważeniu *pro* i *contra*, przechodzimy do działania. Dlatego należy wpoić w dzieci zasadę: Nigdy nic nie mówić, nie działać, gdy jesteśmy wzburzeni, podnieceni, lecz przeczekać bodaj przez jedno „Ojcze nasz". W międzyczasie najczęściej sami uznamy, że niema powodu, żebyśmy się irytowali, gniewali, bali etc. Tą drogą dojdą dzieci powoli do tego, że za lada jakim powodem nie popadną w stan podniecenia. Jeśli oczekują czegoś

miłego, nie powinny z powodu radosnego oczekiwania niecierpliwić się, gdy grozi coś nieprzyjemnego, nie mają się długo przedtem niepokoić. Środki do tego: nie patrzeć co chwila na zegar, nie biegać do okna, gdy ktoś ma nadejść, a nie nadchodzi. Jest to asceza niecierpliwości, a także asceza nerwów. Również: zabrać się zaraz ochoczo do pracy nieprzyjemnej, ciężkiej, przez to przełamie się osłabiające uczucie lęku.

Przechodzimy do władz najwyższych człowieka: rozumu i woli. I dla nich jest potrzebna asceza, aby nie błądziły.

Właściwością rozumu jest popęd do wiedzy, który przymusza człowieka do ciągłego wytężania swych władz duchowych, dopóki nie osiągnie pełni zadowolenia przez oglądanie Boga. Popęd ten naraża nas jednakże na niejedno niebezpieczeństwo, gdyż zbyt często skłania rozum do zajęcia się przedmiotami nieużytecznemi, częstokroć zgubnemi. Z tego rodzi się ciekawość, niezawsze wiodąca do prawdziwej mądrości czy wiedzy. U dzieci ciekawość przejawia się głównie w życiu zmysłów, prowadzi jednak dość często do nieowocnych, a nawet szkodliwych powątpiewań. Zapominalstwo, brak przytomności, gubienie się w domysłach tak częste u niektórych dzieci, pochodzi wprawdzie najczęściej z przewagi fantazji, nieraz jednak ma swe źródło w rozumie. Są to urodzeni powątpiewacze, których nie zadowala żadna odpowiedź, zatapiają się coraz głębiej w swych dociekaniach. To jeden rodzaj krańcowości. Większa liczba jest tych, którzy popadają w błąd przeciwny: w powierzchowność, która unika wszelkiego poważnego zastanawiania się, nie interesuje się niczem z zakresu wiedzy.

Asceza rozumu, odnośnie do tych obydwu przejawów, będzie przedewszystkiem ascezą porządku. Wiedza konieczna musi mieć pierwszeństwo przed wiedzą użyteczną, użyteczna przed przyjemną, szkodliwej nie należy się oddawać. Przeciwnie: okoliczność, że zajęcie przedmiotem koniecznym mniej nam odpowiada, niż zajęcie się jakąś rzeczą miłą, przyjemną, nie powinno nas doprowadzić do porzucenia przedmiotu koniecznego. Ułatwia to przyzwyczajanie dziatwy do porządku w każdej dziedzinie. Dzieci przyzwyczajone do zamiłowania porządku w utrzymaniu swych książek, ubrań i t. d. nauczą się łatwo uporządkować swoje „ja“, swą fantazję, swe życie rozumu — stąd wielkie znaczenie przyzwyczajania do porządku i obowiązkowości w rzeczach najdrobniejszych.

Do ascezy rozumu należy również asceza sądu. Dzieci przyzwyczają się do mówienia, zanim się zastanowią, względnie zanim się dobrze zastanowią. Swe zaś nierozsądne sądy wyrażają w słowach nierozważnych. Nie potrzeba wspominać, ile złego z tego wyniknąć może. Wogóle gadatliwość należy do mniej przyjemnych stron charakteru naszego. Czytałem gdzieś charakterystykę Polaka: „Niemiec nim powie słowo, dwadzieścia razy przedtem pomyśli, Polak na dwadzieścia słów raz pomyśli, co mówi... Nigdzie może gadatliwość nie jest posunięta tak daleko jak u nas — takie samochwalstwo, posunięte aż do kłamstwa... Niemiec nigdy nie rozpowiada o swoich zamiarach, powie wtedy, gdy wykończy swą pracę lub dzieło. Polak naprzód opowiada o zamiarze swoim powzięcia zamiaru, potem nareszcie poweźmie ten zamiar — opowie go szczegółowo — następnie opowiada, że ma wiele pracy, bo ma zacząć to a to... Z tego względu jest stale przepracowany, znużony, nie ma głowy do niczego — nie poznaje znajomych na ulicy, potyka się na równej drodze o każdy przedmiot, — jest stale niewyspany, albowiem musi 20 osobom w ciągu dnia opowiedzieć wszystko. Wkońcu okazuje się, że mu zabrakło czasu do doprowadzenia planów swych do końca. A to mu przecie cały czas pochłaniało"... Dużo w tem przesady, ale i nieco prawda. Rozumna asceza słowa jest konieczna, sposobności też dosyć do jej praktykowania. Bezwątpienia, że skłonność do mówienia u dzieci i starszych nie jest grzechem. Nie mamy też bynajmniej zamiaru kształcenia dzieci na niemowy. Pewna miara potrzebna: czas mówienia i milczenia — przyzwyczajanie do zastanowienia jest konieczne.

Każde ćwiczenie ascetyczne wzmacnia równocześnie i wolę. Była o niej już mowa przy ascezie zmysłów i fantazji.

Szczególnym rodzajem ascezy woli jest asceza czasu. Nie można od dzieci żądać zbyt daleko posuniętej ekonomji czasu, trzymania się zbyt skrupulatnego porządku w rozkładzie zajęć. Mogłoby to dzieci i zdenerwować i zamęczyć. Dzieci powinny róść w części bodaj, jak te lilje polne — i te ptaki niebieskie. Od chwili jednak, kiedy do dziecka przystępuje obowiązek, przywiązany do pewnych, ustalonych godzin — ta beztroska dziecięca nie może się obyć bez jakiejkolwiek bodaj małej ascezy. Nie można dopuścić do tego, żeby dziecko świadome, że ma jakąś ważniejszą sprawę do wykonania, przyzwyczajało się do oddania się jakiejś rzeczy łatwiejszej, przyjemniejszej, albo wogóle próżnowało. Dziecko

wtedy nie tylko, że nie wykonuje swych obowiązków, ale także nie odpocznie rzeczywiście, nie ubawi się, gdyż przeszkadza temu wewnętrzne niezadowolenie. Stan taki jest nam znany z własnego doświadczenia, kiedy to nasza fizyczna energja do pracy się zmniejsza, zanim odczujemy jeszcze symptomy rzeczywistej choroby. Pracujemy wprawdzie dzień cały, praca jednak nasza nie osiąga właściwego rezultatu, ponieważ przerywamy ją odruchowo, znowu zabieramy się do niej, by za chwilę przerwać i t. d. Czujemy jakiś niesmak z takiej pracy, gdyż zdajemy sobie sprawę z braku energji i słabych nerwów. Podobny stan może jednak wywołać i brak silnej woli. Jeśli się zaś stanie chronicznym, to wyradza się typ człowieka bardzo zajętego, a jednak nie produktywnego. Środkiem zaradczym to asceza stosowana już w wieku dziecięcym. Podkreślać znowu nie trzeba, że dziecko może i powinno bawić się godzinami. Nie powinno jednak nigdy być niezajętem, albo bawić się, wiedząc, że właściwie powinno czemś innem być zajete. Stąd musi się je przyzwyczajać, żeby zawsze ochoczo i gruntownie wprzód swe obowiązkowe prace spełniło, obowiązki wykonało, a potem szło do zabawy z tą świadomością: teraz jestem wolny, teraz mogę się bawić. Przytem musi wiedzieć, że bynajmniej nie grzeszyłoby, odmieniając porządek: naprzód się pobawiło, a potem zabrało do pracy.

Sposobności do pouczenia dzieci i zachęcenia do panowania nad sobą, wogóle do ćwiczeń ascetycznych nastręcza i katecheza biblijna, jak niemniej i katechizmowa.

Historja biblijna przytacza nieraz piękne przykłady dla kształcenia charakteru — wyzyskać je, wskazać na konkretne przykłady z życia dzieci i zachęcić do naśladowania.

Źródłem licznych ćwiczeń ascetycznych jest rok kościelny. Okres Bożego Narodzenia można uświęcić przez uczynki socjalne, ascezą socjalną. Dzieci cieszą się na Boże drzewko, gwiazdkę. Naprowadzić dzieci zamożniejsze, by z miłości dla biednego Dzieciątka Jezus pamiętały o biedniejszych swych współkolegach. Korzystałem zwykle z tej okazji, by zachęcić dziatwę do składania ofiar na rzecz np. dzieci zostających na opiece Konferencji św. Wincentego. Cale stosy ubrań, bielizny, bucików (czasy przedwojenne) świadczyły, że zachęta nie była daremna. Zachęcałem wszakże, by dawały ze swych drobnych oszczędności, za pozwoleniem rodziców — a jeśli nic nie mają, żeby oszczędzały bardzo

swe książki, ubrańka, by rodzice mogli się zdobyć na ofiarę dla drugich. Ten sam cel ma zapisanie dziatwy do Dzieła św. Dziecięctwa P. Jezusa, daje sposobność do małych ofiar. Czas postu nadaje się do ćwiczeń ascetycznych ze stanowiska pokuty. Dzień zaduszny: do ofiar, mających na celu dopomaganie duszom w czyśćcu cierpiącym. Każde święto zresztą daje sposobność do zwrócenia uwagi na tę lub ową czynność, pomocną dla pracy nad sobą.

Dla tej pracy trzeba pozyskać rodziców. Dlatego nieraz potrzebne takie tematy w kazaniach, na Wieczorach rodzicielskich i t. p., wykazując potrzebę zaprawiania dzieci do panowania nad sobą — uchylając uprzedzenia, które nierozumna dewocja, czy asceza mogłaby wywołać.

Lwów. *Ks. Dr. Prof. Z. Bielawski.*

Uroczystość poświęcenia sztandaru szkolnego*).

I.

EGZORTA.

„Przetoż teraz, o synowie, bądźcie miłośnikami zakonu i dajcie dusze wasze za przymierze ojców waszych, a otrzymacie sławę wielką i imię wieczne“. *(I. Mach. 2., 50—51).*

Po długich latach sromotnej niewoli, na zegarze dziejowym wybiła dla izraelskiego narodu godzina wolności i swobody. Pod brzemieniem nieszczęść i katuszy, jakich mu nie szczędzili władcy bałwochwalczego Babilonu, nie zapomniał o Pańskim zakonie, ani się nie sprzeniewierzył tradycjom swych przodków, skutkiem czego ulitował się nad jego opłakaną dolą Bóg i sprawił, że na rozkaz Cyrusa mogli znękani potomkowie Jakóba zawrócić do ukochanego Jeruzalem i na gruzach Salomonowej świątyni wznieść nowy dla Pana zastępów przybytek. Tysiączne rzesze stanęły ochoczo

*) Drukowane w sprawozdaniu szkolnem gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Krakowie za rok szkolny 1919/1920.

do uciążliwej pracy, a kiedy bogobojny Ezdrasz począł im czytać ważniejsze ustępy z natchnionych ksiąg i nieznacznie napomknął o narodowych zwyczajach i pamiątkach, z radości „płakał wszystek lud, gdy słuchał słów zakonu“ (2. Ezdr., 89), boć czuł to dobrze, że młode, w niewoli zrodzone pokolenia przechowały nieskażoną swych naddziadów wiarę, że wbrew nadziejom wrogów stanęły pod swoich przodków sztandarem, by w zwartym szeregu pójść na śmiertelne z nieprzyjaciółmi boje.

Cieszył się i weselił żydowski naród, kiedy stanął na progu tak długo wyczekiwanej wolności, kiedy widział, iż jego synowie, wstępując w swoich ojców ślady, zdołają dla „ziemi obiecanej“ świetną wywalczyć przyszłość.

A czyż w naszej duszy nie budzą się w tej chwili podobne myśli i uczucia?

Może za niedoskonałości i grzechy Opatrzność dotkliwą wymierzyła nam karę, a może jeno na ciężką wystawiła nas próbę, kiedy dozwalała na to, iż nienasyceni w swej zachłanności i pysze wrogowie w strzępy targali posiadłości Piastów i Jagiellonów, iż nasze naddziady pod rosyjskim knutem szły w zimne podziemia Sybiru, gdzie cierpieniem i potem zmywali swoje i swych ojców winy, a śmiercią pieczętowali miłość ukochanej nad wszystko Ojczyzny! To jednak pewna, że Stwórca nie chciał naszej bezpowrotnej zaguby, skoro w piersi naszych najmłodszych pokoleń przez wiarę i natchnioną poezję podtrzymał gorącą miłość dla narodowych pamiątek, skoro wśród łoskotu i gromów ostatniej zawieruchy dziejowej wskrzesił nas znowu do politycznego bytu, skoro obecnie wszystkie dzieci naszej wspólnej matki spieszą pod dawne, krwią i chwałą naszych bohaterów uświęcone znaki i bez trwogi idą do walki o nasze zbożne ideały i nieprzedawnione prawa.

Mimo wszystkie niedomagania i braki radością i otuchą ożywia się serce, gdy się widzi, że nasze nowe życie z dawnem tak szczerą i trwałą spaja się nicią, że świeżo sformowane, a już niespożytą chwałą okryte polskie zastępy stają bez żadnych zastrzeżeń w obronie narodowych haseł i drogich dla każdego Polaka pamiątek.

Do wielu dowodów, przemawiających za tą pocieszającą prawdą, niech mi wolno będzie zaliczyć i dzisiejszą, więcej rodzinną, niż publiczną uroczystość, która przy całej swej prostocie zdołała widocznie silniejsze wywrzeć wrażenie, skoro nie tylko przełożeni

i młodzież naszej uczelni powitali ją z tak żywem i serdecznem uczuciem, ale nadto przedstawiciele osób w ten lub inny sposób związanych z naszym zakładem tak liczny wzięli w niej udział.

Za chwilę ponad szeregi naszych wychowanków wzniesie się wysoko przepiękny sztandar, na którym widnieć będzie z jednej strony Ta, co, ogłoszona od wieków polskiej korony Królową z „Jasnej Góry", nad Piasta włościami roztaczała bezustannie cichą, i skuteczną moc Swego matczynego ramienia, a z drugiej na tle różowobarwnem orzeł srebrnopióry.

Jakkolwiek świadom jestem tego, że wokoło tego sztandaru zrzeszać się będą wyłącznie malcy i co najwyżej dojrzewająca młodzież, to przecież na jego widok myśl moja w ubiegłe cofa się stulecia i w żywych barwach stawia przed memi oczyma hufce polskich rycerzy, z których ramion strzelały w górę husarskie skrzydła, a pierś osłaniał pancerz stalowy, którzy przeświadczeni o świętości swej sprawy, z pieśnią: „Bogarodzico Dziewico, Bogiem sławiona Marjo" ruszali do walki, szerząc w nieprzyjacielskich szeregach śmierć i spustoszenie.

Wokoło głęboka zaległa cisza, a przecież mnie się zdaje, że gdzieś z pogranicznych kopców czy mogił dolatuje mnie echo potężnej pieśni żołnierskiej, jaką wśród niedostępnych knieji i borów rozbrzmiewały jeszcze tak niedawno obozy powstańcze.

Czuję to dobrze, że to złudzenie tylko, ale złudzenie miłe i uzasadnione. Wszak na tym sztandarze umieszczono godła, które w dziejach Polski po wszystkie czasy były tak dobrze hasłem nieprzeliczonych wypraw wojennych, jak i wyrazem najserdeczniejszych uczuć, najgorętszych pragnień, a niejednokrotnie powodem bezgranicznej ofiary. A nie kto inny, jeno uczniowie naszego zakładu w swojem i swoich kolegów imieniu te godła obrali i na swym sztandarze umieścili, bo sobie i drugim chcieli uprzytomnić, że one najlepiej streszczają ich myśli, zamiary i ich ideały.

Kochana Młodzieży! Nie zapominaj o tem, że zdobiąc swój sztandar w obraz Matki Boskiej Częstochowskiej z jednej strony, a z drugiej w podobiznę Orła białego, tem samem nie tylko złożyłaś publiczne wyznanie, iż wiara i miłość krwią przodków przesiąkłej ziemi jest na teraz dla Ciebie świętą relikwją i skarbem bezcennym, ale nadto wzięłaś na siebie moralne zobowiązanie, iż Bogu i Ojczyźnie zawsze i wszędzie służyć będziesz z całego serca

i ze wszystkich sił, iż przed żadną nie cofniesz się ofiarą, byleby tylko Stwórca miał z ciebie chwałę, a ojczyzna pożytek i chlubę.

Smutnemi wróżbami nie chciałbym studzić waszych młodzieńczych wzlotów i zapałów, ale wszystko zdaje się za tem przemawiać, że niedaleka, a tak mglista i niepewna przyszłość postawi przed wami cięższe, niż przed waszymi poprzednikami, wymogi, że twardym zadaniom, jakie was czekają, o tyle jedynie zdołacie sprostać, o ile na ich spotkanie wyjdziecie dobrze wyszkoleni, o ile prostotą ducha każdy z was odparuje fałsz i obłudę, a siłą hartownej woli zdepta każdą niską rozkosz, każdą zdradziecką podnietę do złego. Pod naporem huci łatwo wyczerpują się siły, wśród burz i niebezpieczeństw nie trudno pomylić drogę i pójść za tem, co pozornie nęci i upaja, a w rzeczywistości truje a nawet zabija! Jeśli więc pragniesz, byś zawsze czyto w szczęściu i dobrobycie, czy też w cierpieniu i niedostatku pewną i bezpieczną kroczył ścieżyną, nigdy nie wypuszczaj z pamięci tych haseł i godeł, jakie w ciągu nauki szkolnej przyświecać ci będą na naszym sztandarze.

Bądź dobrem dzieckiem Marji, a Ona będzie dla ciebie dobrą i czułą Matką; zasłoni przed napaścią czarta czy świata, w niebezpieczeństwie poda pomocną dłoń, pokrzepi w niedoli, w smutku ukoi, a nawet w razie upadku czy zniechęcenia u Zbawiciela wyjedna pociechę i przebaczenie.

Bądź dobrym Ojczyzny synem i „kochaj Polskę nie połową, ale całą duszą“. Nie szumnem słowem i płynnym frazesem, ale cichym, światu po największej części nieznanym czynem stwierdzaj na każdy dzień wobec własnego sumienia, że dobro wspólnej nam Matki umiesz przenosić nad własną wygodę lub korzyść, że w twojem sercu dopiero wtedy naprawdę zagości szczęście, gdy „go dużo będzie w skołatanej Ojczyźnie“, a niewątpliwie z twej ręki padnie niejedna, może niewielka, ale silna i trwała cegiełka na budowę naszej świetnej i szczęśliwej przyszłości.

Droga Młodzi! Bóg i Ojczyzna — to dwa największe przykazania, które nie tylko po przodkach odziedziczyłaś w spuściźnie, ale nadto dzisiaj złotemi zgłoskami młodzieńczej miłości wypisałaś na swoim sztandarze. Wyryjże je tedy głęboko w swojem sercu, byś nigdy nie sponiewierała ich wskazań, byś im nigdy nie sprzeniewierzyła się w życiu.

Kiedy w polskim obozie nad oddziałem rycerzy zatrzepotały proporce, z piersi nieustraszonych bohaterów wyrywał się okrzyk: „Na wały“!

Ukochana Młodzi! Ponad twe szeregi wkrótce wzniesie się sztandar, który z wyglądu i treści tak bardzo jest podobny do dawnych bojowych proporców. Czyż wobec tego mogę wam również podać hasło naszych walecznych praojców? Myślę, że jeśli kiedy, to dzisiaj tak!

A więc „na wały“, młodzi przyjaciele, a tym wałem niechaj wam będą wady naszego charakteru, jak pycha i prywata, pieniactwo i niezgoda, niesłowność i niestałość, lenistwo i zamiłowanie do wygód — opanujcie je i zniszczcie w duszach, a walne odniesiecie zwycięstwo, skoro już starożytni mówili: „se ipsum vincere, summa victoria est“.

„Na wały“ dzieci zbiedzonej ojczyzny, a tym wałem niechaj wam będzie każda fabryka czy warsztat, kopalnia czy sklep, handel czy przemysł — ujmijcie go w swoje ręce, płynące z nich zyski obróćcie na podniesienie ogólnego dobrobytu, a wielką okryjecie się chwałą, bo swej ubogiej braci zapewnicie znośne warunki bytu.

„Na wały“ spadkobiercy duchowej schedy po naszych wieszczach i uczonych, a tym wałem niechaj wam będzie prawda, dobro i piękno — przez mozolną pracę przetrząsajcie tajniki przeszłości, wnikajcie w zagadki przyrody, w każdym tworze rąk Bożych podpatrujcie myśl i piękną formę, a potomni spłacą wam kiedyś dług wdzięczności, jeśli zdobyczą lub przynajmniej przykładem ku światłu wskażecie im drogę.

Droga Młodzieży! W imię hasła: „Bóg i Ojczyzna“ idź pod swoim sztandarem na żmudną pracę, a przez pracę sięgaj po zwycięstwo, które przez przyczynę Najświętszej Marji Panny niechaj ci da wszechmocny Bóg. Amen.

II.

PRZEMÓWIENIE OKOLICZNOŚCIOWE.

Jeśli cieszy się i weseli ojciec, który dobremu synowi zdołał nareszcie sprawić długo oczekiwaną przyjemność lub spodziewane wyświadczyć dobrodziejstwo, to, zdaje się, że i ja w tej chwili mam niemały do radości powód, skoro mi wypadło w imieniu ściślejszego zespołu ludzi dobrej woli oddać w posiadanie młodzieży naszego zakładu z całym artyzmem wykonany sztandar.

Wiele przyczyn na to się złożyło, że od całego szeregu lat z utęsknieniem nań wyczekiwali nasi uczniowie. Pewnie, że jakoś im nieswojsko było, kiedy podczas narodowych uroczystości, w których młodzież szkół średnich w Krakowie ogólny brała udział, prawdopodobnie oni jedni bez własnego występowali sztandaru. Bez porównania jednak więcej odczuwali jego potrzebę z tego powodu, że rozumieli dobrze jego znaczenie, że w nim pragnęli zamknąć swoje myśli i ideały.

Tem się tłumaczy ów niekłamany zapał, z jakim nasza młodzież pochwyciła słowa p. Dyrektora, kiedy przemawiając do niej z początkiem obecnego roku szkolnego, między innemi wskazaniami przypomniał jej, że „mimo ciężkie warunki winna już nareszcie podjąć na nowo i w czyn zamienić oddawna żywioną myśl o sztandarze“. To również było przyczyną, czemu na wezwanie zawiązanego w tym celu komitetu z profesorów i uczniów stosunkowo bardzo hojne popłynęły składki, tak, że w niedługim czasie można było pomyśleć o projekcie, a potem przystąpić do jego zrealizowania.

Każdy to przyzna, że obecne warunki z różnych powodów nie idą na rękę podobnym pragnieniom. Czasem braknie w składach niezbędnych materjałów, to znowu niezawsze można liczyć na odpowiednio wykwalifikowane siły, ale z Bożą pomocą udało się złamać lub przynajmniej obejść dość liczne trudności, skutkiem czego nasz zakład w dniu dzisiejszym otrzymuje swój sztandar szkolny — bodaj czy między podobnemi sobie nie najpiękniejszy w całym Krakowie.

Jeśli wspomniałem, że przeprowadzenie powziętego zamiaru niemało kosztowało nas trudu i na liczne napotykało przeszkody, to zrobiłem to jedynie dlatego, by wytłumaczyć nieuniknione w takim stanie rzeczy niedomagania w naszych czynnościach, by usprawiedliwić w samem dziele możliwe braki i usterki.

Mam to głębokie przekonanie, że każdy z was, drodzy uczniowie, z radością i dumą spogląda dziś na sztandar, który, przeszedłszy na waszą własność, stał się równocześnie waszym znakiem i godłem. Widnieją na nim perły narodowych pamiątek, modlitwa i błogosławieństwo kościelne już go umocniło, a więc szczególniejszą nad nim musicie roztoczyć pieczę i nie szczędzić wysiłków czy trudów, by mu dobrze w waszem gronie było. Niech będzie na zawsze punktem waszego honoru, by czysty i nieska-

zitelny powiewał nie tylko nad wami, ale i nad tysiącami onych pokoleń, które po was przyjdą i dookoła niego gromadzić się będą.

Piękny sztandarze! Bujaj swobodnie i wysoko ponad zastępami naszej licznej młodzieży, nieś w nią wzajemną miłość i solidarność, pobudzaj ją do pracy i serdecznej modlitwy, a twego czoła uchylaj jedynie przed prawdziwą zasługą, cnotą i Bogiem!

A teraz uważam sobie za miły obowiązek, imieniem komitetu, złożyć serdeczną podziękę tym, którzy w ten lub inny sposób przyłożyli rękę do wykończenia tak pięknego i zbożnego dzieła. Przedewszystkiem dziękuję bardzo Tobie, Najdostojniejszy Księże Prałacie, żeś raczył łaskawie dokonać poświęcenia naszego sztandaru i swą obecnością zaszczycić dzisiejszą uroczystość. Pracowałeś przez długie lata nad wyrobieniem młodych pokoleń, gorącą zawsze otaczałeś je miłością, a więc nic dziwnego, że one zawsze z otwartem sercem przyjmują Cię w swojem gronie, a wyświadczoną im dzisiaj grzeczność długo w żywej przechowają pamięci. Szczególniejszą podziękę chciałbym wyrazić Jaśnie Wielmożnemu panu radcy Rzepińskiemu, który się nie zawahał przełożyć na czas późniejszy swego pilnego wyjazdu z Krakowa, byleby tylko razem z młodzieżą przeżyć tę chwilę, w której mógł znaleźć dowód, iż nie na próżno dla polskiej szkoły podejmywał żmudną i twardą pracę, skoro w niej umiłowanie ziemi ojczystej i narodowej spuścizny tak silnem bije tętnem. Czcigodnemu Panu Dyrektorowi składam wyrazy wdzięczności za to, że w swoim czasie przypomniał młodzieży, że mieć własny sztandar jest jej obowiązkiem, a następnie zawsze nam udzielał swej światłej rady i niezawodnych wskazówek. Bardzo gorąco dziękuję wszystkim Dostojnym Gościom, bo mi się wydaje, że biorąc udział w obrzędzie wbijania gwoździ, nie tylko swym malcom uczynili radość, ale nadto utwierdzili ich w tem przeświadczeniu, że szkoła i dom — to dwie siostrzyce, które się w jednym łączą wysiłku, by z najmłodszych pokoleń wyrosły dzielne jednostki moralne, miłe Bogu, a pożyteczne Ojczyźnie.

Jeszcze jedno z głębi serca wyjęte słówko! Składam je Tobie, Wielmożny Panie Profesorze [1]), który uczyniłeś radość gorącym pragnieniom naszej młodzieży. Jak mi wiadomo, nie chciałeś, bym

---

[1]) Słowa te odnoszą się do obecnego na uroczystości p. profesora Jana Bukowskiego, projektodawcy sztandaru.

dzisiaj głośno mówił o Tobie, ale przyznasz, że niejednokrotnie rozkaz słowa musi się poddać pod rozkaz uczucia. Przez kilka miesięcy przepiękny projekt ubierałeś w konkretne formy; wiem dobrze, żeś jedynie z miłości dla piękna i dobra młodzieży podejmował zachodów i trudów, by nam w zamówionym sztandarze oddać prawdziwe dzieło sztuki. Nie liczyłeś na wdzięczność, nie rachowałeś się z zapłatą, ale wszelkich dokładałeś starań, by to, coś na moją i twego przyjaciela prośbę przyjął na siebie, było wspaniałe i piękne. Pozwól więc, że się uiszczę z zaciągniętego wobec Ciebie długu i z tego miejsca tak Tobie, jak i tym osobom, które w Państwowej Szkole Przemysłowej pracowały nad naszym sztandarem, złożę od siebie i moich uczniów wyrazy najserdeczniejszej i najgłębszej podzięki.

Na zakończenie muszę jeszcze spełnić jedną nieodzowną powinność. Sztandar przeszedł na własność zakładu, ale któż go ujmie w swoje dłonie i ojcowską nad nim roztoczy pieczę? Nie trudno nam przyjdzie w tej sprawie dobry zrobić wybór! Wszak z „wieku i urzędu" ten zaszczytny obowiązek spaść musi na barki tego, któremu w tej uczelni Opatrzność ster poruczyła. Dlatego w Twoje ręce, Czcigodny Panie Dyrektorze, oddaję sztandar, na którym widnieje nazwa naszego zakładu. Przez lata całe usilnie nad tem pracowałeś, by mu dobrze pod tym dachem było, by w sercu twych wychowanków gościnnego doznał przyjęcia. W czasach ubiegłych słowem i czynem w młodych duszach krzepiłeś ducha, rozwijając przed niemi przecudne skarby naszej literatury, budziłeś w nich otuchę i nadzieję, że po ucisku zabłyśnie znów jutrzenka swobody, a za nią wejdzie wolności słońce. Stwórca sprawił, że w pełni sił zobaczyłeś tę oddawna śnioną i upragnioną dobę — weź-że więc ten sztandar i nieś go jeszcze długie lata przed szeregami młodych pokoleń, by się od Ciebie uczyć mogły, jak powinny dla lepszej i świętszej przyszłości pracować.

Kraków. *Ks. Dr. Józef Rychlicki.*

Wskazówki na wakacje.

EGZORTA.

„Weźcie zupełną zbroję Bożą, abyście się mogli sprzeciwić w dzień zły i we wszystkiem stać doskonali“. *(Efez 7, 3).*

Gdybyś sumiennie ocenił i na czułej szali zdrowego rozsądku rozważył to wszystko, co świat szczęściem nazywa, przyszedłbyś do przekonania, że ono rzadko gdzie w tak szlachetnej występuje formie jak u rolnika, kiedy ten, szepcąc rzewną modlitwę, witany szmerem dojrzałych a pełnych kłosów, z ostrym sierpem w ręku staje nad zagonem, by zebrać bujny plon całorocznej pracy i żmudnych zabiegów. Zapomina natenczas o znoju, jakim zroszony, rzucał w czarną glebę ziarno, nie myśli o tem, że na tym samym łanie jesienną porą nowy czeka go trud; jego serce pieści się widokiem pięknych zbiorów, a dusza raduje na samo wspomnienie, że jego stodoły wkrótce wypełnią się po brzegi i dostarczą tak jemu jak i drugim w obfitości chleba. Z innymi nie dzieli się tą radością, bo jej w suche słowa zamknąć nie umie, jedynie ciche a głębokie westchnienie, jakie w serdecznej podzięce śle przed tron Stwórcy, może nam dać przypuszczalną miarę jego wesela i szczęścia.

Z uczuciami tej prostej, wieśniaczej duszy dadzą się porównać te, które za dni kilka waszą ożywią pierś. Przez dziesięć miesięcy uprawialiście zagon ciężkich zajęć szkolnych, dzień po dniu w pocie czoła spulchnialiście jego twarde skiby — nadszedł wkońcu czas żniwa. Ziarna nauki, jakie wasi przełożeni na różne sposoby hojną dłonią rzucali na glebę waszych młodocianych serc, — da Bóg — bujne wydadzą wam plony, których stwierdzeniem będzie świadectwo szkolne. Praca wasza w przeważnej części była sumienna i wytrwała mimo, że często tamował ją chłód a głód utrudniał, wobec czego uzasadnioną żywicie nadzieję, że u przełożonych z przychylną spotka się oceną, że pomyślnym wynikiem klasyfikacji wynagrodzicie sobie trud a rodzicom troskę, jakiej w ciągu roku tyle dali wam dowodów.

Wasza radość tem pełniejsza być musi, że koniec szkolnego roku będzie początkiem wakacyjnego — dobrze zasłużonego wypoczynku.

Pomny na własne czasy szkolne, waszem raduję się weselem, boć nie tylko wasze wieczne szczęście, ale i doczesne bardzo mi leży na sercu. Jedna tylko nęka mnie troska, byście wolne chwile w rzeczywistości obrócili na wypoczynek i dobro waszych dusz. Dla tej przyczyny życząc wam pięknych i zbożnych wakacyj, pragnąłbym jeszcze kilka podać wam wskazówek, według których dobry uczeń ułoży sobie czas wolny od nauki szkolnej.

Może z większą niż zwykle obawą spoglądają dzisiaj przełożeni na wychowanków, opuszczających progi ich zakładów, ponieważ z każdym dniem mnożą się niebezpieczeństwa i pokusy, dzięki którym w ciągu kilku tygodni doszczętnie przepada plon ich całorocznej pracy w duszach młodzi, częstokroć najlepsze rokującej nadzieje. Wiele przyczyn złożyło się na to, że moralna atmosfera, w jakiej wzrastają dzisiejsze młode pokolenia, coraz bardziej przesiąka zarazkami duchowej zgnilizny tem zgubniejszej w skutkach, że wnika w niedoświadczone i łatwowierne dusze w postaci modnego postępu i ubóstwianej wolności. Spustoszeń, jakich dokonują nowoczesne prądy w sercach szkolnej młodzi, niepodobna obliczyć, ale ich ogrom trwogą przejmuje nawet tych, którzy najczęściej powodowani żądzą zyskania rozgłosu, dali im początek. Teraz więcej lękać się ich muszą ci, którym rodzice w opiekę oddali swoją dziatwę, którzy, pełniąc szczytne obowiązki wychowawców i nauczycieli, pod przyszłość narodową kładą podwaliny.

Nic więc dziwnego, że rozstając się z wami na dłuższy czas, w imię waszego dobra, chciałbym wam wskazać na te środki, któreby was mogły zachować od złego nawet wówczas, gdy nad wami nie będzie czuwało oko życzliwych przełożonych, gdy sami będziecie stróżami waszych serc i sędziami waszych czynów. — „Tak zawsze postępuj w życiu — mówił do swych uczniów Seneka, — by najbystrzejsze oko przyjaciela nie dostrzegło w tobie żadnej winy; gdy go zaś niema przy tobie, wyobrażaj sobie, że z oddali na ciebie spogląda". — Podczas wakacyj znajdziecie się poza zakładem, gdzie bacznie zwracano uwagę na wasze czyny, gdzie was zaprawiano do pracy i prawdziwej cnoty. Pomnijcie jednak, że nasz duch będzie z wami, że z wami winny iść w życie nasze zasady; niemi kierujcie wasze kroki, a niezawodnie one wam starczą, by was od wielu niebezpieczeństw uchronić i by was wyrwać z ponęt i pokus do złego.

Nadewszystko jednak pamiętajcie o tem, że zawsze nad wami czuwa Ojciec i Nauczyciel wszystkich ludzi, że wszędzie Jego wszystko ogarniający wzrok będzie na was spoczywał. On wam będzie stróżem i siłą, bylebyście tylko u Niego zechcieli w każdy czas szukać pomocy. Skutkiem tego nie opuszczajcie waszych codziennych modlitw, nie zaniedbujcie przepisanego w niedziele i święta nabożeństwa, o ile na to stosunki pozwolą, nie stronicie od sakramentów świętych, a niewątpliwie Jego łaska święta bez przerwy będzie wam towarzyszyła. Jeśli zawsze, to szczególniej podczas wakacyj winieneś gorące wznosić do Boga modły, ponieważ więcej na ciebie uderzy pokus, więcej grozić ci będzie niebezpieczeństw, których nie ujdziesz bez szkody dla siebie, tem bardziej, że ci braknie tych środków, dzięki którym wśród zajęć szkolnych, otoczony gronem uczciwych kolegów, zachęcany do dobrego słowem i przykładem drugich, mogłeś zwycięskie ze złem staczać walki. Czem tedy świeże powietrze dla ciała, tem modlitwa musi być dla twej duszy, o ile pragniesz, byś się zawsze mógł utrzymać na wyżynach cnoty i świętości. Przez modlitwę jednocz się coraz silniej z Chrystusem Panem, który dla ciebie winien być wzorem i przyjacielem.

Z modlitwą niechaj się łączy w życiu waszem uczciwa praca. Nie myślcie, żebym wam zalecał ślęczenie nad książką od rana do wieczora; owszem radzę wam na podstawie własnego doświadczenia dać należny odpoczynek władzom umysłowym, bo jeśli łuk napięty traci swoją tężyznę i siłę, to nie mniej wyczerpałby się umysł, gdyby nie miał odpowiedniego wytchnienia. Stąd jednak nie wynika, byście się mieli oddać słodkiemu próżnowaniu, które dla wszystkich a szczególniej dla młodych dusz jest podłożem najzgubniejszych występków. Wszakżesz poza książką tyle jest, zwłaszcza dzisiaj, zajęć, które możecie wykonać nie tylko bez uszczerbku dla waszych sił, lecz przeciwnie z największym pożytkiem tak dla duszy jak i ciała. Żyjemy bowiem w czasach, kiedy naprawdę ten tylko do życia ma prawo, kto w pocie czoła pracuje na kawałek chleba, kiedy coraz bardziej brakuje rąk do pracy a zapotrzebowanie środków spożywczych wzrasta niepomiernie. Już nie mówię o tych, którzy do rodzimej, wieśniaczej wrócą zagrody, bo takich konieczność postawi obok matki i siostry przy gospodarczych zajęciach a przykład nieletnich dzieci, pracujących w zastępstwie poległych ojców i braci będzie im do

wytrwałości zachętą; chciałbym się zwrócić do dzieci miasta, które pod inne lata nie czuły potrzeby zabiegania o kęs powszedniego chleba. Dziś zmieniły się warunki, które prawdopodobnie nie prędko innym ustąpią miejsca! Dziś do snadnych wyjątków należą szczęśliwcy, którzy bez trwogi w najbliższą spoglądają przyszłość; przeważna zaś część ludzkości wszystkich ima się sposobów by sobie zapewnić choćby na najbliższe dni najniezbędniejsze środki do życia i przetrwać cało okres bezbrzeżnej nędzy, jaką nam wojna zgotowała. Źleby więc było, gdybyście chcieli tej walki o byt biernymi być świadkami! Chciejcie się przejąć potrzębą pracy, okażcie gotowość do jej podjęcia, a niezawodnie samo położenie, wskazówki starszych, ciche życzenie rodziców niedługo zakreśli wam pole, na którem z korzyścią spróbujecie wytrwałości waszych ramion. Nie tylko na teraz mniejszą lub większą cegiełkę w ten sposób dorzucicie do ogólnego dobrobytu, ale nadto nauczycie się cenić zapoznaną lub przynajmniej niedocenianą pracę fizyczną, przejmiecie się poszanowaniem dla tych, którzy ją na swych dźwigają barkach.

Zwykle czas wakacyjny młodzież poświęca lekturze prywatnej, na którą w ciągu szkolnego roku nie wiele wolnych znajdzie godzin. To rzecz zrozumiała i godna uznania, a przecież jakżesz nieobliczalne po największej części przynosi szkody! Czyta się wprawdzie wiele, ale czyta się bez wyboru i nadzoru starszych, wybiera się to, co się najbardziej podoba, co poleci usłużny, ale zepsuty starszy kolega, a owoc odpowiedzieć musi posiewowi. Często jedna bezwstydna lub bezbożna książka wystarczy, że najzacniejsza dusza pójdzie na bezdroża niewiary i występku, że mimo upomnienia i rady najbliższych jej osób wyrzeknie się wszystkiego, co wzniosłe i szlachetne, by tem bezpieczniej hołdować błędom i zepsuciu. Dlatego czytajcie w wolnych od zajęć chwilach wiele ale dobrych książek! Niech punktem honoru będzie dokładne poznanie naszej pięknej literatury, przejęcie się jej ideałami, byście kiedyś nie podzielili losu tych, którzy mogli napamięć cytować całe strony z chorobliwych wizyj osławionego, współczesnego autora, a grobowem milczeniem i rumieńcem wstydu odpowiedzieli przy maturze na pytanie: kto jest bohaterem „Dziadów“.

„Kto się smoły dotknie, pomaże się od niej“ (Eklus 13_8) temi słowy Mędrca Pańskiego chciałbym jeszcze zwrócić waszą

uwagę na jedno niebezpieczeństwo, jakie wam podczas wakacyj więcej niż kiedyindziej grozi ze strony złego, niedobranego towarzystwa. Z konieczności rzeczy przyjdzie wam się spotkać z obcymi nieznanymi ludźmi; baczcie pilnie na to, jakie są ich zasady i jaką przedstawiają wartość moralną, byście nieostrożności w tym względzie gorzko nie żałowali po niewczasie. „Annus usque ad aras“ — powtarzali sobie starożytni, którzy czuli to dobrze, że o tyle można drugich darzyć przyjaźnią, o ile znajomość z nimi nie pociąga za sobą obrazy Bożej, o ile nie kala duszy miasto ją uszlachetniać. Dla młodzieńca niema i nie może być miejsca wśród ludzi, „którzy o złem mówią bez wstydu a czynią je bez wstrętu“.

Pomny słów Pisma św.: „Synu! nic nie czyń bez rady, a po uczynku nie będziesz żałował“ (Eklus 32_{24}) podałem wam tę wiązankę wskazówek — tak często powtarzanych, to prawda — ale tak ważnych, że jeszcze raz na nie położyć nacisk uważałem sobie za święty obowiązek. Aczkolwiek ich treść dobrze znana a forma nie wykwintna, przyjmijcie je takiem sercem, z jakiem ja rozwinąłem je przed wami, a ufam, że zastosowanie się do nich niemałą przyniesie wam korzyść. Jak zawsze tak i teraz niechaj waszym najwyższym celem będzie Bóg, drogowskazem Krzyż a gorąca modlitwa pokarmem waszych dusz; uczciwą pracę uważajcie za moralny i narodowy obowiązek, zasilajcie skarb waszej wiedzy wzniosłą i zbożną lekturą, szukajcie godziwych rozrywek w gronie zacnych i cnotliwych współrówieśników a niezawodnie wrócicie do nas pokrzepieni na siłach tak ciała jak i ducha, by znowu podjąć pracę na swoim zagonie i gotować nowe zbiory na chwałę Bogu i własne zbawienie. Amen.

Kraków. *Ks. Dr. Józef Rychlicki.*

Ad limina Apostolorum.

Wielką i śmiałą myśl powzięło i wykonało Stowarzyszenie Księży Prefektów Polski: Pielgrzymkę młodzieży z całej Polski do Rzymu (2—22 kwietnia b. r.). Pod protektoratem ks. kardynała Kakowskiego zawiązał się w Warszawie komitet, którego główną sprężyną był ks. dr. Henryk Hilchen, zaś znakomitą sekretarką p. Jadwiga Reuttówna, dyrektorka gimnazjum im. Plater-Cyberkówny; na nich spoczął główny ciężar pracy. W pielgrzymce

wzięło udział około 300 dziewcząt i 150 chłopców, głównie z Warszawy, także z Wilna, Lwowa i innych miast. Nadto większa ilość księży i nauczycielstwa. Razem 512 osób.

2 kwietnia b. r. wyruszył osobny pociąg, złożony z pięknych, przeważnie pulmanowskich wozów z Warszawy przez Katowice i Dziedzice do Wiednia. 100 automobili, zapełnionych pielgrzymami, obwiozło ich w zawrotnem tempie po całym Wiedniu; zwiedzono dokładniej tum św. Szczepana i Schönbrunn, zaś w kościele polskim przy Rennwegu ks. Kardynał przemówił serdecznie do pielgrzymów. W ciągu następnej nocy przejechaliśmy Alpy i 4 kwietnia b. r. wjechaliśmy na laguny weneckie. Umieszczono nas trochę daleko, bo aż na Lido, skąd vaporettem dojeżdżaliśmy do Piazzetty. Po zaspokojeniu pierwszych wrażeń udaliśmy się do sklepów ze słynnemi wyrobami mozajkowemi, gdzieśmy dużo pozostawili złotych i dolarów. Młodzieży naszej bardzo się podobali dwaj Maurowie, stojący od wieków na „torre del'Orologio" i wybijający godziny. Nazajutrz po nabożeństwie u św. Marka zwiedziliśmy pałac dożów, ze szczytów Campanilli podziwialiśmy uroczą Wenecję i pełne morze, a potem gondolami i vaporettem zdążaliśmy na dworzec. Za dwie godziny byliśmy w Padwie, gdzie nas serdecznie przyjęli skauci włoscy. Grób św. Antoniego i nabożeństwo polskie przy nim odprawione, poruszyły wszystkich do głębi. Nazajutrz rano byliśmy w Rzymie. Umieszczono nas na Zatybrzu, w świeżo zbudowanej i bardzo wilgotnej bursie. Najazd półtysięcznej rzeszy młodzieży wprawił zarząd bursy w stan zupełnego zamętu, który trwał przez parę dni.

Pobyt w Rzymie w pierwszym tygodniu stanowił istotną część pielgrzymki. W uroczystych pochodach po ulicach Rzymu, we wzorowym ordynku ze sztandarami i chorągwiami, odwiedzaliśmy prastare bazyliki świętego miasta, odmawiając wspólnie modlitwy. W Wielki Wtorek pielgrzymi oczyścili się z grzechów w bazylice św. Piotra. Nastrój religijny był bardzo wysoki, niemal entuzjastyczny podczas tej spowiedzi. Nazajutrz Ojciec św. udzielił nam Komunji św. W W. Piątek słyszeliśmy chór sykstyński podczas Ciemnej Jutrzni w bazylice św. Piotra (obecnych 50.000 osób), a kardynał Merry del Val udzielił błogosławieństwa św. Relikwjami. W Wielką Sobotę przyjął nas Ojciec św. na uroczystej audjencji. Pius XI ma wygląd prawdziwie majestatyczny. Włosy ciemne, niezbyt jeszcze siwe, oczy niebieskie, jasne i mądre.

W czasie przemowy Ojciec św. ożywia się i mówi z temperamentem i bardzo gorąco. Z całej jego postaci wieje nieopisany urok. — Audjencja nasza, podczas której papież zetknął się osobiście z każdym z osobna, dając mu rękę do pocałowania, a swój medal na pamiątkę, a nawet rozmawiając z niektórymi, była czemś niezwykłem, zaś o przemowie papieża do Polaków mówili później Włosi, że ściany Watykanu takiej mowy papieskiej jeszcze nie słyszały.

Przez kilka dni następnych zwiedzaliśmy Rzym. Najsilniejsze wrażenia religijne odnieśli pielgrzymi w tych dniach w katakombach, podczas zwiedzania wystawy misyjnej i u grobu naszego patrona, św. Stanisława Kostki; nadto ogromne wrażenie czyni zamek św. Anioła, colosseum i forum. Potem wyruszyły wycieczki w rozmaite strony: najwìększa udała się do Neapolu, Pompeji i Monte Casino, inni pielgrzymowali do Assyżu. Ostatniego dnia młodzież pojechała do Tivoli.

Z prawdziwym żalem żegnaliśmy Rzym. A riverderci! (do widzenia!) Kto bowiem raz Rzym zobaczył, ten nie wytrzyma, lecz kiedyś jeszcze wrócić musi.

Wracaliśmy przez Florencję, gdzieśmy się dzień zatrzymali, i przez Bolonję w tempie bardzo szybkiem, gdyż w ciągu dwu dni przebyliśmy całą drogę powrotną.

Podróż do Rzymu była pielgrzymką i zarazem wycieczką. Jako pielgrzymka osiągnęła swój cel religijny w zupełności. Młodzież i starsi byli pod silnem wrażeniem potęgi i powszechności Kościoła; odwieczne, wspaniałe bazyliki, relikwje wielkich świętych, zwłaszcza polskich, katakomby i przedewszystkiem Watykan i promienna osobistość Piusa XI — nie wyjdą nigdy z pamięci i z serc pielgrzymów.

Natomiast strona wycieczkowa wykazywała znaczne luki. Nie do uniknienia były te trudności i przykrości, które powstawały skutkiem tłumnej liczby uczestników; jednak wielu innych braków można było uniknąć. Doświadczenie tegoroczne daje nam następujące wskazówki dla każdej przyszłej pielgrzymki: 1) Jednostka, choćby najdzielniejsza, sama jedna nie podoła prowadzeniu 500 osób; 2) należy w Rzymie utworzyć komitet i oddać jemu zupełnie w ręce kwaterunek i wikt pielgrzymów za osobistą odpowiedzialnością (wtedy uniknęłoby się bardzo drogiego, a przytem bardzo wilgotnego kwaterunku). 3) Pomieszanie młodzieży z naj-

rozmaitszych miast pod kierunkiem nieznanych im profesorów, zamiast doprowadzić do zżycia się, może doprowadzić do zupełnej anarchji, gdyż chłopak nie poczuwa się do obowiązku słuchania nieznanego mu człowieka; księża prefekci powinni jechać wśród swoich uczniów i przez cały czas wśród nich przebywać. 4) Wspólna podróż dorastającej młodzieży męskiej i żeńskiej jest eksperymentem niedopuszczalnym. 5) Podczas podróży powinna obowiązywać zupełna abstynencja od alkoholu, także od wina. 6) Przy zwiedzaniu zabytków należy zostawić pielgrzymom zupełną swobodę łączenia się w dowolne grupy, wyznaczając jedynie czas następnej zbiórki.

Ogólne jednak wrażenie jest bardzo dobre i organizatorom pielgrzymki, a zwłaszcza niestrudzonemu ks. szambelanowi Hilchenowi należą się słowa uznania i wdzięczności. Młodzież wspomina pielgrzymkę nadzwyczaj mile i wdzięcznie, a te wspomnienia i nastroje wywrą z pewnością wpływ dodatni na umysły i serca młodych pielgrzymów.

Lwów. *Ks. Dr. K. Thullie.*

W sprawie literatury dla dzieci.

Dorzucić pragnę słów parę w tej sprawie, tak bardzo nas obchodzącej. Przy sposobności zakupywania książek do bibljoteczki szkolnej miałem sposobność zetknięcia się bliżej z księgarzami krakowskimi i z pociechą zauważyłem, że u kilku z nich natknąłem się naprawdę na obywatelskie, a nie czysto kupieckie pojmowanie sprawy. Chcieliby mianowicie dać kupującym do ręki książki odpowiednie, a zwłaszcza wtedy, gdy chodzi o młodzież, ale stoi na przeszkodzie oczywiście — jak p. Króliński zauważa słusznie,— niemożność znajomości całej literatury w tej dziedzinie a nieraz także brak znajomości wydawnictw mniej znanych w szerokim świecie księgarskim.

Paląca tedy okazuje się potrzeba sporządzenia katalogu informacyjnego — coś w rodzaju skargowskiego — tam podać należałoby ocenę krótką książeczki, czy książki, jej cenę i wydawcę — taki katalog każda szkoła, tuszę, nabyłaby z wdzięcznością, a sądzę, że i księgarze chętnieby do nich zaglądali.

Otóż tak zasłużone Wydawnictwo „Bibljoteki Religijnej“ mogłoby podjąć inicjatywę w tym względzie i zaprosić do współpracy w różnych punktach Polski ludzi — którym dobro moralne młodzieży leży na sercu — by recenzje książek odpowiednich nadsyłali, celem umieszczenia tychże w katalogu informacyjnym. Byłoby to dobrodziejstwem ogromnem dla wszystkich dziś błąkających się po księgarniach w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego dla dzieci.

Należałoby również pobudzić Księgarnię św. Wojciecha do wydawania książeczek od 10—20 gr., gdyż bardzo wielu chłopców-dziewcząt przychodzi do księgarni i takie stawia żądanie: „Proszę o książeczkę za 16 gr.“ — ileż więc dobrego można by tu zrobić, a tymczasem „Bibljoteczka dla wszystkich“ św. Wojciecha prawie wyczerpana — jeśli chodzi o rzeczy dobre dla młodzieży.

Dalej trudno zrozumieć, dlaczego Książnica lwowska — T. N. S. W. tak wysoko kalkuluje książeczki X. Bielawskiego — bo aż 4·20 gr. Jeden z dyrektorów widząc to, wyraził się: „To chyba nato, żeby dzieci nie miały się z czego modlić“ — chyba nie taki cel przyświeca „Książnicy“. Jakże to wygląda wobec cen ze Śląska, gdzie ładna książka kalkuluje się na 1 zł. a skromniejsze 10, 20, 30, 50, 60 i t. d. groszy?

X. St. Kędzior, prefekt XXXIII szk. w Krakowie.

RECENZJE I SPRAWOZDANIA.

„Nasz Misjonarz“, Górna Grupa p. Grudziądzem, Pomorze. Ojcowie Werbiści. — Cena 5 zł. — Połączony z miesięcznikiem „Skarb Rodzinny“. Jest to nowe czasopismo misyjne, w wydaniu ludowem, obszerne, zasługujące na jak największe rozpowszechnienie po organizacjach parafjalnych. Jeśli starszym dzieciom poleciliśmy „Młodzież Misyjną“ (Kraków-Dębniki, Zagrody 17. Księża Salezjanie. — Cena 3 zł.) tak pięknie redagowane, to rodziców ich możemy zaznajomić z „N. Misjonarzem“.

Sądzimy, że rozszerzanie czasopism misyjnych przyczyni się raźno do poruszenia idei misyjnej u nas. Kółka misyjne, biorące dyrektywę od WW. Ks. Ks. Katechetów powinny się tem zająć.

K. B.

J. Salsmans, S. J. Ze śmierci do życia. Dzieje młodego anarchisty. Przełożyła z francuskiego H. A. Łubieńska. Kraków. Wydawnictwo Ojców Jezuitów. Kopernika 26. — Cena 1·20.

Treść książeczki taka: 19-letni paryżanin, ślusarz z zawodu, dostaje się za kradzież do więzienia belgijskiego na 14 lat kary. Jest niedowiarkiem, ma wielkie umiłowanie wolności, i nie wiedząc, czem ona właściwie jest, wpisuje się do „Młodzieży Rewolucyjnej“. W więzieniu po 6 latach pracy nad sobą nawraca się dzięki serdecznej, łagodnej opiece kilku kapłanów, którzy go odwiedzają, oraz mądremu kierownictwu dyrektora więzienia.

Nawróciwszy się, umiera, wyraziwszy przedtem nieraz zamiar poświęcenia się misjom z chwilą opuszczenia więzienia.

Nadzwyczaj ciekawy jest proces jego poznania Prawdy. Rozwój odbywa się długo i ciężko, a jednak systematycznie. Albert jest myślący i pracowity. Dostaje i kupuje moc książek. Jego wiara oprze się na nauce i wytworzy silne przekonania, tak silne, że zapragnie dla nich walczyć wśród braci pogańskiej.

Życiorys ten, tak niezwykle pociągający, wykwitł na podłożu znajomości smutnych stosunków społeczno-religijnych we Francji z jej „etyką socjalną“. Albert padł ich ofiarą i — Bóg pozwolił mu się podnieść, ale iluż ich nie napotka na sprzyjające warunki.

Sądzimy, że w sferach robotniczych książka może być złotym, radosnym pomostem do zgody, do porozumienia się, zacierającym

różnice stanowe. Pomostem tym jest równe ujęcie zasadniczych ideałów życiowych i dążenie do nich rzetelną, ofiarną pracą wszystkich... Powinna więc znaleźć się w bibljotekach społecznych, oświatowych wszelkiego typu. Niejeden wątpiący, niedowiarek, znajdzie w niej pomoc, by wybrnąć na światło, bo powie sobie: Co mógł Albert, to i ja potrafię. Najbardziej zaś pociągnie go prawda, jaka z książki bije.

K. B.

René Bazin: **Davidée Birot.** Roman. — 43-e édition. Paris. Calmann-Lévy rue Auber 3. — 1925. Cena 6·75 fr. — Znany autor powieściowy jest Członkiem Akademji Francuskiej, która niejedno z jego dzieł nagrodziła swem odznaczeniem, jeśli się nie mylę, to także życiorys ks. Foncaulda, misjonarza w Afryce, zamordowanego podczas wojny. Jest to nowoczesna biografja Świętego, jakich nam bardzo brak: przedstawiając fakty historyczne wypadków zewnętrznych, a nawet życia wewnętrznego, zostawia sąd czytelnikowi. Dawniejszy, zgóry nałożony nimb świętości zanika, natomiast nie ukrywa owych ludzkich nieodzownych niedoskonałości, których i Święci nie potrafili się wyzbyć. Mówiąc o tej książce, pragnę zwrócić uwagę na nią, jako na przyczynek do wzmożenia u nas ruchu misyjnego, jakich dotąd mamy jeszcze zbyt mało!

A teraz, przeprosiwszy za odejście od tematu, zwróćmy się do „Dawidy". Jednem słowem można określić treść książki: Oto obraz stosunków we Francji z jej systemem „etyki socjalnej" — obraz takiego zniszczenia, o jakiembyśmy nie zamarzyli nawet we Francji, a jednak coś w konturach zarysowuje się podobnego u nas, a nie chcemy, bodaj, zdać sobie sprawy z położenia... Młoda nauczycielka, wychowana w mieszczańskim domu bezwyznaniowych rodziców, dostaje się na arenę pracy zawodowej. Tylko pewna prawość charakteru i prostota serca ratuje ją od kataklizmów, w których inne giną. Nie może sobie dać rady z pytaniami dzieci, oraz kwestjami społecznemi w otoczeniu bez pomocy religji. Chce pozostać na stanowisku „etyki socjalnej", ale nie zdoła, bo w chwilach decydujących ona nie wystarcza.

Dawida obraca się w sferze robotniczej, i to jest ciekawe, bo u nas zazwyczaj mowa o bezwyznaniowcach z inteligencji. Nie wiadomo, który obraz smutniejszy, ale bodajże... francuski. Nasza bohaterka dochodzi do portu wiary, jest uratowana.

Czytaliśmy w pismach francuskich o skutkach książki, zwłaszcza w kołach nauczycielek: były zaiste orzeźwiające, światłodajne, poprostu objawieniem, przynajmniej dla wielu z nich. Pod jej wpływem powstało stowarzyszenie, nazywające się „Les Davidées", z zamiarem i celem, jaki swemu życiu nakreśliła po nawróceniu się bohaterka z powieści.

K. B.

Kalendarz „Iskier“ na rok 1925/6. Mała encyklopedja i notatnik, opracował Władysław **Kopczewski.** Rok II. Lwów-Warszawa, 1925, w 12^0, str. 256, nakł. Książnicy-Atlasu.

Ogólne wrażenie, jakie wywiera Kalendarz „Iskier“, podano w „Miesięczniku kat. i wych.“ zesz. 8—10, z 1924. Tu dodam tylko parę uwag szczegółowych. Obecny rocznik poświęcony jest w szczególniejszy sposób Sienkiewiczowi: jest na wstępie jego podobizna, potem życiorys krótki i z jego tylko dzieł wyjęte „złote myśli“. Prócz tego są nieśmiertelne wycieczki, gramatyka łacińska, dużo wzorów matematycznych i geometrycznych, wzory i prawa fizyczne. Doskonałe, choć króciutkie, uwagi o czytaniu, uczeniu się. Znakomite wskazówki kolejowe. Wprowadzono „naukę“ języka angielskiego, niemieckiego, francuskiego, podając niektóre reguły gramatyczne. Zwiększono materjał wychowania fizycznego i sportów, każdy student-sportowiec z uciechą przyjmie zestawienie rekordów światowych i polskich. Za dobry pomysł uważam powiększenie wiadomości o Polsce współczesnej, podanie laureatów Nobla, z okazji odznaczenia „Chłopów“. Katechetę oprócz innych zainteresuje fakt pomieszczenia „Kiedy ranne“, „Wszystkie nasze dzienne sprawy“, statystyka religij świata, oryginalnie ujęta statystyka szkolnictwa. Każdego zainteresuje ciekawa historja rozwoju nauki i techniki. A już najwięcej, może za dużo żeru ma w tym roczniku geograf. Wartość „Kalendarza“ ocenia się należycie dopiero po dłuższem używaniu.

Nie wiem tylko, w jakim celu podano tu statystykę p. t. „Rozbiory Polski“. W „Historji powszechnej“ opuszczono w 1918 roku (str. 129) wskrzeszenie Rzeczypospolitej Polskiej, Na str. 193 opuszczono nazwisko niedawno zmarłego Jana Styki. Dziwnie brzmi definicja: „Mała kalorja — ilość ciepła, n i e z b ę d n a d o n a g r z a n i a 1 cm^3 wody o 1^0 C“.

Ogółem mam wrażenie, że drugi rocznik nie jest tak urozmaicony jak pierwszy. Może dlatego, że pewne, choć konieczne, wiadomości powtórzono? *H.*

Lord **Chesterfield: Sztuka życia.** Rady i aforyzmy z „Listów do syna“ zebrał i przełożył Maciej R. Wierzbiński. Poznań, 1925, 12^0, str. 80. Księg. św. Wojciecha.

Przy rozcinaniu książki rzucając okiem tu i tam, zauważyłem dużo ładnych zdań. Trzeba będzie przytoczyć parę najładniejszych, pomyślałem. Lecz czytając książkę od „Przedmowy“ i „Życiorysu autora „Listów do syna“, popadłem w miły kłopot. Wszystkie prawie aforyzmy zasługiwały na przytoczenie — czego oczywiście nie można zrobić. Zasługiwały dlatego, że są albo mniej znane nawet nieznane, albo znnne lecz wyrażane w nieznanej, oryginalnej formie. Wszystkie myśli zdrowe, praktyczne, życiowe. Przeznaczone nie tylko dla młodzieży, lecz „dla każdego inteligentnego człowieka“ — jak pisze tłumacz.

Pozwolę sobie, dla zilustrowania tego, co wyżej powiedziałem, przytoczyć niektóre aforyzmy:

„Bądź zawsze takim, jakim później kiedyś, spozierając w swą przeszłość, pragnąłbyś był być w przeszłości“.

„Niema nic tak błahego i podrzędnego, czego nie trzebaby jednak wykonać dobrze“.

„Każdy osobnik o przeciętnych zdolnościach może przez należyte wyszkolenie, sumienność, skupienie i wolę zrobić z siebie co chce. Tylko poetą nie może zostać“.

„Młodość mniema, że ma przed sobą tak wiele czasu, iż może go, ile tylko chce, roztrwonić, a jeszcze zostanie jej aż nadto. To błąd bardzo szkodliwy, który mści się na nas, gdy już za późno“.

„Co bądź robisz, rób celowo, do dna a nic powierzchownie. Wnikaj w sedno rzeczy! Połowiczny czyn i połowiczna wiedza to nie czyn, nie wiedza. Gorzej nawet, bo nie prowadzi to do celu“.

„Poznać świat można jedynie tylko wśród ludzi. Jednakże książki mogą podsunąć w zakres twej obwerwacji pewne zjawiska, jakie byłyby uszły twej uwadze“.

„Człowiek silnego charakteru widzi rzeczy we właściwem ich ustosunkowaniu jak są, słaby człowiek zaś widzi je poprzez szkło powiększające, które z pchły robi słonia, małe rzeczy wyolbrzymia, a wielkich uchwycić i objąć nie może“.

„Nie dosyć jest posiadać podstawy zalet moralnych. Trzeba to praktykować, wcielać w życie. Twe dobre imię w świecie musi się na tem opierać, w przeciwnym razie renoma twoja wkrótce się załamie i — spadnie ci na głowę“.

„...Kto, wstępując w świat, nie zaskarbi sobie renomy człowieka prawdomównego, uczciwego, dobrych zasad i obyczajów i na tę opinję nie zasłuży, może wprawdzie przez pewien czas trzymać się na powierzchni życia, jak bańka mydlana, i zwodzić ludzi, jednak wkrótce zniknie i utonie w pogardliwych piaskach zapomnienia“.

„Jaka jest droga do doskonałości? Najpierw spełnianie obowiązku względem Boga i ludzi, bez czego wszystko inne nie ma znaczenia. Powtóre zdobycie wielkiej wiedzy, bez czego byłbyś wzgardzonym osobnikiem, chociażby uczciwym. Wreszcie dobre maniery, bez jakich byłbyś bardzo niemiłym i niepopularnym, chociażby uczciwym i pełnym wiedzy“.

„Natura ludzka jest wprawdzie wszędzie jednakowa, lecz zmienia się przez wychowanie, praktykę i poszczególne obyczaje do tego stopnia, że przy pobieżnej obserwacji dałoby się określić ją jako odmienną“.

„Przyjemności to skała, o którą rozbijają sie zwykle młodzi ludzie. Wyruszają na poszukiwanie ich z pełnemi żaglami, lecz bez busoli i bez rozwagi, jakaby ich łodzią kierowała. Skutkiem tego zamiast przyjemności przywożą ze swej podróży ból i niesławę".

Za dużo może przytoczyłem tych zdań, lecz są one bardzo charakterystyczne i dadzą pewnie niejednemu dużo nowości.

O okładce wolę nie mówić. *H.*

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI.

Władysław Berkan: **Życiorys własny.** Materjały Instytutu Socjologicznego w Poznaniu. Tom I. Z przedmową prof. Dr. Florjana Znanieckiego. Fiszer i Majewski, Poznań, 1924, 8°, str. XIX+359.

Ks. Prof. Dr. Władysław Chotkowski: **Szkic działalności Kościoła.** Podręcznik na oddział VII szkół powszechnych. Według programu Min. W. R. i O. P., zatwierdzonego przez Zjazd Biskupów polskich r. 1919. Wydał ks. Melchjor Kądzioła, katecheta szkół powszechnych, Kraków, 1925, 8°, str. 93.

Ks. Karol Marciak: **Katechizm religji katolickiej dla młodzieży.** Wydawn. Książnicy naukowej w Przemyślu, 1924, 8°, str. 190+2 nlb.

Rocznik pedagogiczny. Serja II — Tom II. Rok 1924 (z kroniką i bibljografją za lata 1922 i 1923). Książnica-Atlas, Lwów, 1924, 8°, str. III+572.

Ks. Dr. Kazimierz Thullie: **Życie chrześcijanina w obrzędach Kościoła.** Modlitewnik liturgiczny ułożył... przy współudziale Komisji Min. W. R. i O. P. w Warszawie. Wydanie dla dorosłych. Książnica-Atlas, Lwów, 1925, 16°, str. VII+579.

Ks. Józef Winkowski: **Egzorty** do uczniów szkół średnich. T. III (Stanowi całość). Kraków, 1925, 8°, IX+318.

Z aktualnych zagadnień szkolnictwa średniego. Pamiętnik I i II Konferencji Dyrektorów państwowych i prywatnych szkół średnich ogólnokształcących na terenie okręgu szkolnego Łódzkiego. Nakł. Konferencji Dyrektorów szkół średnich, Łódź, 1925, 8°, str. 219.

Paul Bergmann: **Neugestaltung des Biblischen Geschichtsunterrichts** für die Oberstufe der Volkschule mit Lehrauftritt Jesus und die heidnische Kanaaniterin. Fryburg w Br., 1925, 8 mała, str. 40, nakł. Herdera.

Za pozwoleniem władzy duchownej.

Redaktor: *Ks. Prof. Dr. Zygmunt Bielawski.*

Ks. Bielawskiego, który wyjechał na kurację, zastępuje do 1/VII 1925 *Ks. Dr. Teofil Długosz.*

Z drukarni Tow. „Bibljoteka Religijna".